robić nie chce, jeść nie woła 6

kawalerskie znoje 7

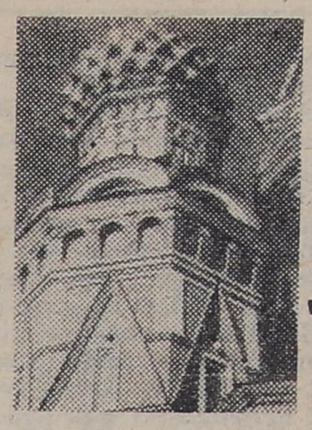

motyw wschodni 8-9

międzywojewódzka dziura w moście 11

parada wysokopiennych fotoreportaż 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

18
(45)
KONTAKTY
10 V 1981
Cena 4 zł

Odpoczynek po uroczystych obchodach Dnia Zwycięstwa w Nowogrodzie. W następnym numerze — wspomnienia uczestnika walk pod Monte Cassino.
Fot. GABOR LORINCZY

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

swój w urodziwym terenie

Donosy i zażalenia pisywali rajgrodzianie ostatnio coraz rzadziej i chyba bardziej z przyzwyczajenia niż wiary w moc sprawczą sprawiedliwości. Tak się bowiem od niedawna składało, że docierając do adresatów — zapadały się one lub dematerializowały. Dopiero w listopadzie ubiegłego roku powiało jakby odnową. Okazało się bowiem nieoczekiwanie, że to, co boli ludzi, o czym szepczą między sobą skrycie, można nie tylko publicznie nazwać, ale i skrytykować. Ożyły nadzieje. Zatrzęsło się w mieście od domysłów i przewidywań przyszłej gminnej szczęśliwości. Tymczasem mijały dni i nic się nie zmieniło. Przemknęła gdzieś ukradkiem Komisja Kontroli Partyjnej, przecwałowali wysłannicy Prokuratury Wojewódzkiej i wszystko umilkło na amen. Górowali pesymiści: „Korzeń z korzenia, nie wyrwiesz jednego, żeby drugiego nie naruszyć".

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

STARCIA

KLUB DYSKUSYJNY „KONTAKTÓW"

po prostu

jaka partia?

1. Nie chcemy partii, która przez to, że faktycznie administrowała wszystkim, co tylko w państwie było do administrowania, stała się olbrzymim urzędem.

2. Nie chcemy partii, w której podstawowe organizacje partyjne stanowiły coś w rodzaju Bezmyślnego Bloku Współpracy z kierownictwem, tkankę tłuszczową obrastającą zasadniczy szkielet, jakim był aparat partyjny; masa członkowska nie może być dodatkiem pozorującym istnienie i funkcjonowanie maszynerii biurokratycznej.

3. Nie chcemy partii, w której działacz polityczny jest w zasadzie tylko kółkiem owej maszynerii, hierarchicznie zaszeregowanym, mającym z góry wyznaczony etat i sferę działania, kółkiem obracającym się tylko dlatego i pod tym warunkiem, że główny technik nakręcił centralną sprężynę.

Takiej partii nie chcemy. O jaką partię natomiast będziemy walczyć? O taką chyba, gdzie:

1. Naczelnym zadaniem będzie działalność polityczno-ideologiczna, organizowanie polityczne mas robotniczych i związanej z nimi inteligencji, organizowanie od wewnątrz mas robotniczych. Etatowy aparat partyjny wypełniałby w zasadzie funkcję służebną, wykonawczą, kierowniczą zaś funkcję spełniałaby nieetatowa instancja.

2. Masy członkowskie, podstawowe organizacje partyjne będą rzeczywiście decydować o działalności całej partii, stając się nie dodatkiem do aparatu, lecz gospodarzem aparatu, gdzie egzekutywa stawać będzie przed sądem instancji, zaś instancja przed sądem podstawowych organizacji.

3. Działacz partyjny stanie się wreszcie normalnym działaczem politycznym i działającym nie na zasadzie pragmatyki służbowej, lecz

CIĄG DALSZY NA STR. 3

PODCZAS KAMPANII wyborczej „Solidarności" prowadzonej w całym kraju często powtarza się, że przyszłość Związku zależy od jej finału. Do tej pory prym wiedli spontanicznie wyłonieni w okresie strajkowym przywódcy. Uzyskali akceptację dzięki odwadze i zdolnościom organizatorskim. Naturalnym ich sprzymierzeńcem stały się masy popierające odnowę. Teraz, kiedy fala entuzjazmu opada, nadszedł czas na zwykłą codzienną pracę. Zachodzi więc potrzeba wybrania na najbliższe dwa lata władz, które nie tylko potrafią obronić zdobycze komitetów strajkowych i „Solidarności" z pierwszego okresu, ale będą też autentycznym rzecznikiem interesu ludzi pracy w najbardziej bodaj kryzysowym od wojny okresie. I to zadanie podnosi rangę wyborów. A doświadczenia w tym względzie mamy niestety mizerne. W niektórych zakładach np. wybory przeprowadza się bez należytej kampanii wyborczej. Często wyborom towarzyszy pośpiech. Pół biedy, jeśli tak jest w małym zakładzie, bo tam prawie wszyscy się znają. Gorzej — gdy w zakładach dużych, gdzie właśnie z powodu pośpiechu do władz mogą trafić ludzie tylko dlatego, że kiedyś coś mocniej powiedzieli i tym zapisali się w pamięci wyborców. A przecież nie to powinno być podstawowym kryterium. Spieszyć się jednak trzeba, bo niebawem — także wybory delegatów na walne zebrania regionu i oddziałów.

Ponadto, wybory te mogą stać się ważnym elementem integracji wewnątrzwojewódzkiej. Do tej pory prawie w zupełnej izolacji działały MKZ-y z Łomży, Zambrowa, Grajewa. Jedynie Kolno i Wysokie Mazowieckie utrzymywało sporadyczne kontakty z Łomżą. Nasiliły się one w okresie gotowości strajkowej. Wcześniejsze próby nawiązania kontaktów MKZ Zambrów z TKZ Łomża nie doprowadziły do trwałej współpracy. Na przeszkodzie stanęła siatka administracyjna nie idąca w parze z powiązaniami regionalnymi oraz struktura organizacyjna wielu przedsiębiorstw, nie odpowiadająca wewnętrznej Związku.

WYSOKO OCENIŁO dotychczasowy udział członków partii w dyskusji przedzjazdowej, zbiorowe myślenie nad projektem programu i statutem partii — plenum Komitetu Wojewódzkiego. Jednocześnie zaakceptowano potrzebę wykorzystania okresu wyborczego w organizacjach i instancjach partyjnych, do pobudzenia dyskusji nad aktualnym stanem partii i możliwościami zwiększenia oddziaływania na społeczność województwa. Pomóc mają w tym sformułowane w uchwale KW pytania, na które nie może zabraknąć odpowiedzi w czasie zebrań wyborczych:

Jak wyjść z bierności, jak przejąć inicjatywę w ważnych sprawach społecznych i gospodarczych, nie werbalnie a czynem potwierdzając przewodnią rolę partii? Co robić, by spokojowi społecznemu w województwie towarzyszył niepokój myśli i nowatorstwo w działaniu? Co dana organizacja partyjna może zaproponować robotnikom i rolnikom, aby pozyskać ich dla naszej idei, do szeregów partyjnych, jakie argumenty są teraz potrzebne? Jak w demokratycznych warunkach prawidłowo i skutecznie ułożyć współpracę organizacji partyjnych z sojuszniczymi stronnictwami, organizacjami młodzieżowymi i społecznymi? Jak zwiększyć udział organizacji partyjnych w realizacji narodowych celów, szczególnie dotyczących gospodarki narodowej — wyjścia z kryzysu i przeprowadzenia reformy gospodarczej?

OBCHODAMI 35-lecia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży zainaugurowano w województwie Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Podczas uroczystości zespół pracowników WBP otrzymał listy gratulacyjne od I sekretarza KW PZPR — Waldemara Szpalińskiego i wojewody — Jerzego Zientary. Zasłużeni bibliotekarze wyróżnieni zostali nagrodami i dyplomami Ministra Kultury i Sztuki, Wojewody i Wydziału Kultury i Sztuki UW. Wśród wyróżnionych znalazła się również redakcja naszego tygodnika. Zasługi łomżyńskich bibliotekarzy przedstawimy w jednym z najbliższych numerów. Póki co — serdeczne gratulacje dla Jubilatki!

ZASZOKOWAŁA mieszkańców Łomży wiadomość o wypadku: 35-letnia wdowa wyrzuciła dwójkę swoich dzieci, w wieku 5—8 lat, z okna mieszkania na czwartym piętrze, wyskakując następnie sama. Dlaczego niepracującej samotnej kobiecie, której w dodatku stan psychiczny odbiegał od normy (była leczona w Choroszczy) — powierzono opiekę nad dziećmi; w jakim świetle stawia to jednostki powołane do sprawowania opieki nad tego rodzaju rodzinami? Oto pytania, jakie stawia, w związku z wypadkiem, wielu łomżyniaków.

INTERNAT ZESPOŁU Szkół Rolniczych w Nieckowie w gminie Szczuczyn. Przed wejściowymi drzwiami, w odległości 3—4 metrów, wysypisko śmieci. Bez żadnego obudowania. Korytarz ponury, na ścianach szary tynk. W pokojach na cztery — pięć żarówek, pali się tylko jedna. Brakuje kontaktów. Uczniowie sami podłączają kabelki. Łóżka-prycze. Maciupeńkie stoliki. Telewizor od kilku miesięcy zepsuty. Świetlicę zajęła sprzątaczka na kantorek. Panie dyrektorze Zespołu Szkół Rolniczych, Panie Kierowniku Internatu! To prawda, że oświata zeszła na psy, lecz wychowanie przyszłych rolników w warunkach żywo przypominających więzienie — z całą pewnością nie wyprowadzi jej z impasu.

ZAŁOGA OKRĘGOWEGO Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Łomży dobrowolnie przepracowała jedną z wolnych kwietniowych sobót, bez upominania się o dodatkowe wynagrodzenie. Ten gest uczyniła między innymi z wyrozumienia dla trudnej sytuacji żywnościowej w kraju.

PROJEKT nowelizacji prawa lokalnego — w przygotowaniu. Przewiduje się m.in. zobowiązanie Ministra Finansów do zapewnienia dotacji na bieżące naprawy prywatnych domów jednorodzinnych w wysokości 1 miliarda złotych. Nowe przepisy uporządkują z pewnością wzajemne stosunki lokatorów i właścicieli domów czynszowych. W związku z tą zapowiedzią mamy prośbę do mieszkańców czynszówek, żeby już nie przynosili nam wyhodowanych tam ślimaków i innych zwierzątek, które szczególnie upodobały sobie brud, wilgoć itp. Prośbę kierujemy głównie do mieszkańców domu przy ulicy Wiejskiej 6 w Łomży, których małe ZOO znają już także miejscowe władze.

„POGOTOWIE ŻYCZLIWOŚCI" uruchomił PCK. Codziennie od 15.30 do 17.30 pod telefonem 23-26 czuwają młodzi członkowie tej organizacji, którzy gotowi są nieść pomoc ludziom starym, chorym i samotnym wykonując dla nich np. zakupy, prace domowe, zaopatrując w leki.

TURNIEJ TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZY, zorganizowany przez Oddział PTTK w Łomży odbył się w Czartorii. Wzięli w nim udział członkowie szkolnych klubów i kół Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. W programie eliminacji znalazły się [illegible] tyczne, a także sprawdzian umiejętności marszu na orientację. Żaden zawodnik się nie zagubił. Najlepiej wypadły ekipy z LO w Wysokiem Mazowieckiem i Szkoły Podstawowej nr 7 w Łomży. PTTK podsumowało również wyniki działalności swych klubów i kół za rok ubiegły. Najwięcej punktów zgromadzili turyści ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Grajewie oraz z Liceum Ogólnokształcącego w Łomży.

numery kierunkowe telefonów

Łomża — Wizna	775
Łomża — Śniadowo	761
Łomża — Bożejewo	771
Łomża — Bronowo	773
Łomża — Nowogród	765
Łomża — Przytuły	770
Łomża — Burzyn	75
Łomża — Wys. Maz.	86
Łomża — Drozdowo	74
Łomża — Kownaty	72
Łomża — Podgórz	73
Łomża — Miastkowo	78
Łomża — Piątnica	763
Łomża — Rogienice	70
Łomża — Szczepankowo	79
Łomża — Kolno	87
Kolno — Łomża	8
Łomża — Ostrołęka	88
Ostrołęka — Łomża	61
Łomża — Warszawa	82
Warszawa — Łomża	886
Łomża — Białystok	85
Białystok — Łomża	0861
Zambrów — Łomża	861

zdarzenia

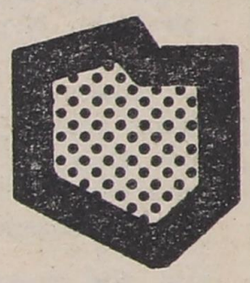

JEDNYM Z POWRACAJĄCYCH w wypowiedziach dyskutantów na X Plenum KC PZPR tematów był problem odpowiedzialności za błędy i naruszanie norm moralnych: ZYGMUNT WROŃSKI: „W zaistniałej sytuacji naród nasz oczekuje, że program partii stworzy gwarancję istnienia sprawiedliwości społecznej, a realizacja tego programu będzie z nimi zgodna. Jest to niezbędny warunek uznania partii przez cały naród za autentyczną siłę przewodnią w kraju"; EDWARD SZYMAŃSKI: „Już dzisiaj towarzysze, którzy utracili polityczne i moralne uprawnienia do pełnienia mandatów w kierowniczych gremiach partii na różnych szczeblach, w organizacjach przedstawicielskich, winni z nich odejść. [...] Jedno z plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego jeszcze przed IX Zjazdem winno się odbyć z udziałem tow. Edwarda Gierka"; ALBIN SZYSZKA: „Sprawa trzech robotników, kierowców autobusów z Ostrowca Świętokrzyskiego, członków naszej partii i członków Związku Zawodowego Pracowników Gospodarki Komunalnej. Od miesiąca walczą o powrót do pracy, której zostali pozbawieni tak, że nie mogą być zatrudnieni w innym przedsiębiorstwie komunikacji. Dlaczego tak się stało? Wykonywali oni uchwałę Biura Politycznego KC i wezwanie swojego Związku Zawodowego, żeby w dniu 27 bm. pracować, a nie brać udziału w strajku ostrzegawczym. Zastosowali się więc do apelu naszej partii"; KAZIMIERZ KĄKOL: „Sprawą, na którą trzeba patrzeć pryncypialnie i otwarcie, jest sprawa Torunia. Jesteśmy w sytuacji, kiedy na czele ogniwa partyjnego stoi człowiek, którego z partii wydalono. Słusznie, czy nie słusznie, ale wydalono. Nie wiem, czy pozostawienie poza strukturą partii zespołu, który postanowił złamać wszystkie obowiązujące w niej zasady, przyniosłoby samokrytyczną ocenę, czy ostudziło gorące głowy. Natomiast mam pewność, że obecność prominentnych przedstawicieli instancji partyjnych na konwentyklu frakcyjnym na pewno nie przyczyni się do pobudzenia refleksji, nie powstrzyma od działań, które powinny być chyba po imieniu nazwane"; ANDRZEJ WERBLAN: „Niektórzy towarzysze przypisują mi prawie inspiratorską rolę wobec tego ruchu. Może być, że usiłują w tym znaleźć usprawiedliwienie dla własnych niepowodzeń. Byłoby to posądzenie zaszczytne, ale niezasłużone. Mój kontakt ze sprawą wynika stąd, że w moim okręgu poselskim w Toruniu zjawisko takie ma miejsce i stanowi istotną treść życia politycznego. Widzę w oddolnych porozumieniach ogromnie dużo autentycznego idealizmu komunistycznego, ale także niemało utopijności. Patrząc jednak na to zjawisko, nawet najbardziej krytycznie, ale bez uprzedzeń, musi się dojść do wniosku, że jedynie rozsądną polityką jest otwarcie i dyskusją, a nie walka. Walka spycha takie ruchy ku skrajnościom. [...] Partia reaguje na przeciągający się kryzys nasileniem nurtu rozliczeniowego, żądaniami zmian personalnych w nadziei, że umożliwi to odzyskanie zaufania i wzrost w kierunku wyjścia z kryzysu. Są to żądania uprawnione. Trzeba wychodzić im na spotkanie. Złudzeniem wszak byłoby mniemać, że rozwiąże to problemy"; STEFAN OLSZOWSKI: „Jakże łatwo rzuca się dziś oskarżenia przeciwko komunistom, osiągnięciom Polski Ludowej, dorobkowi społecznemu socjalizmu. Bronić dziś zasad ustrojowych, pozycji i jedności partii, interesów socjalistycznego państwa, często oznacza spotkać się natychmiast z pomówieniami o konserwatyzm. Rodzi się swoista histeria propagandowa, podsycana żądaniami całkowitej dowolności w głoszeniu wszelkich poglądów. Czy tak należy widzieć wymiar wolności słowa?"; HALINA ZIELIŃSKA: „ W odczuciu szerokich mas członkowskich proces rozliczania prowadzony jest w sposób opieszały i niekonsekwentny. Nie chodzi tutaj tylko o ukaranie winnych, choć jest to bardzo ważne. Społeczeństwu chodzi przede wszystkim o to, aby w toku rozliczania ujawnić mechanizmy, które powodowały, że można było przez wiele lat bezkarnie podejmować błędne decyzje, sprzeczne z interesem partii i społeczeństwa oraz wykorzystywać zajmowane stanowiska dla celów prywatnych, ordynarnego urządzania się. Musimy poznać te mechanizmy po to, by je wyeliminować raz na zawsze, by nigdy nie mogły się powtórzyć".

OGIEŃ, który pojawił się na parterze przy klatce schodowej objął w ciągu kilku minut cały czterokondygnacyjny budynek. Świadkowie twierdzą, że szczecińska „Kaskada" płonęła jak pochodnia. Zginęło kilkanaście osób. Czy prócz ustalenia winnych komisja zaleci zbadanie także innych materiałów budowlanych, które są powszechnie stosowane?

PODWYŻSZONO czynsze za mieszkania w budynkach rad narodowych, zakładowych i prywatnych, czynszowych. Podwyższone opłaty będą obowiązywać tylko mieszkańców, którzy zawrą umowę najmu po 1 maja. Jest to pierwszy krok naprzód w porządkowaniu bałaganu z opłatami czynszowymi.

„CZY PRACOWNICY Państwowej Komisji Cen nudzą się?" — pyta również „Kurier" (nr 82). Z informacji wynika, że — tak. Oto bowiem, w sytuacji gdy tak wiele jest do zrobienia w porządkowaniu systemu cen, PKC wypracował decyzje o tym, że w przypadku cen napojów gorących w gastronomii „końcówkę do 24 groszy odrzuca się, końcówkę od 25 do 74 groszy zaokrągla się do 90 groszy, końcówkę od 75 do 99 groszy zaokrągla się do 1 złotego".

„STEFAN BRATKOWSKI zmierza wyłącznie ku temu, by być przyzwoitym członkiem partii, w przyzwoitej partii, wśród przyzwoitych ludzi. [...] Jest wielkim problemem naszej partii uzyskanie pojednania z własnym narodem. Sytuacja historyczna tak się ułożyła, że istnienie partii jest zasadniczym czynnikiem równowagi już nie tylko w naszym kraju, ale w całej Europie. [...] Otóż o prawidłowym funkcjonowaniu partii nie ma mowy, jeśli stosunki partii z narodem nie zostaną w racjonalny sposób ułożone i uporządkowane. [...] Ja jestem zdania, że opowiadanie się polityczne wedle pozytywnego czy negatywnego stosunku do Pana Boga jest kryterium absurdalnym" — powiedział m.in. S. Bratkowski w wywiadzie dla „Gazety Współczesnej" (nr 88).

HISTORYCY: dr Norbert Michta i dr hab. Jan Sobczak, reporterzy prasy i radia: Wojciech Adamiecki, Krzysztof Czabański, Krystyna Jagiełło, Wojciech Giełżyński, Janina Jankowska, Ryszard Kapuściński, Jerzy Surdykowski i Andrzej K. Wróblewski oraz publicyści: Włodzimierz Sokorski i Klemens Krzyżagórski — wzięli udział w dyskusji o etosie klasy robotniczej. Jej zapis przynosi „Miesięcznik Literacki" nr 4. Jeden z fragmentów wypowiedzi W. Adamieckiego: „Głównym zjawiskiem polskiego lata i jesieni 1980 był proces integracji społeczeństwa. Rozwijał się on od najniższych grup społecznych, w tym przypadku robotniczych, szedł od szczebla [illegible] załogi robotniczej poprzez wydział, zakład, miasto, rejon, aż do regionu. Otóż zasięg tej integracji, szybki rozwój postaw społecznej współodpowiedzialności i determinacji pod tym względem stanowił zaskoczenie dla wszystkich uczestników wielce konfliktowej fazy kryzysu. W moim odczuciu powaga tego wielkiego ruchu społecznego zaznaczyła się pełniej i dobitniej w tygodniach późniejszych, już po sierpniu."

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

na zasadzie zdobytego, opartego o praktykę zaufania członków partii i klasy robotniczej, pracującym na podstawie tegoż zaufania oraz pozostającym w całej swej pracy pod kontrolą swych wyborców.

A więc walczyć będziemy o partię żywą, samodzielną, stale rozwijającą się, stale dyskutującą, partię, która kierować będzie masami i której niepotrzebne będzie administrowanie ludźmi, klasą, państwem.

Janusz Kossak
Eligiusz Lasota
Witold Wirpsza

o wolności słowa

Nigdy w takim nasileniu, jak w naszej groźnej epoce, nie oszukiwano świadomości publicznej w takiej skali i przy pomocy tylu słów wyżętych podstępnie z właściwej treści moralnej. Wstręt do tej mowy, którą słusznie nazwano drętwą, jest dość, na szczęście, u nas powszechny. Ale wiele jeszcze czasu upłynie, zanim przejdzie ona do bibliotek pamiątek, do słownictwa obłudy XX wieku. [...]

Spotyka się i dziś, i to także wśród pisarzy, ludzi, którzy nie wierzą w sens walki o prawdę, o wolne słowo, przerażeni odgłosami czołgów i faktem broni termojądrowej. Przerażeni rywalizacją wielkich imperiów, rywalizacją, która w tej chwili wielki cień rzuca na ziemię, mówią „Nie warto”.

Ja jednak odpowiadam: To nieprawda. Warto. Warto, gdyż wierzę, że historia nie jest tylko rzeźnią i domem wariatów. Warto, gdyż sprawiedliwość musi w końcu zatriumfować i choćby jej triumf był krótki, jak krótkie jest życie ludzkie, to jednak warto jest żyć dla tej chwili.

Myślę, że naród polski, który nie dał się zdeprawować w ciągu tamtych lat, naród, który wykazał wiele wspaniałej żywotności i wiele rozumu w dniach październikowych, nie ma powodu obawiać się wolnego słowa i powinien zaufać swoim pisarzom.

Wypowiedź Mieczysława Jasturna na VII Zjeździe ZLP

kto zawinił?

Wyobraźmy sobie, że ktoś pragnie przenieść się z dworca Głównego w Gdańsku na dworzec we Wrzeszczu i nie korzysta ani z kolei elektrycznej, ani z tramwaju ani z taksówki wreszcie, lecz zamawia dla siebie olbrzymi autokar Pekaesu. Co byśmy o nim powiedzieli? Że jest niespełna rozumu, bo autokar kosztuje przecież bardzo drogo, a wykorzystany jest tylko w minimalnym stopniu.

A czyż innego zdania bylibyśmy o człowieku, który ciułając latami złotówki przystąpił do budowy domku, wykopał fundamenty, wymurował piwnice i natychmiast kazał wszystko zasypać piaskiem i gruzem, aby zatrzeć wszelki ślad po domu? Przecież normalny człowiek takich rzeczy nie robi.

Tak jest, normalny człowiek gospodarujący własnymi pieniędzmi takich rzeczy nie robi. Ale, jeżeli pieniądze są państwowe, to różne cuda uchodzą, nie pozostawiając plamy na opinii autorów. Ten, kto tak postępuje, to nie wariat, tylko człowiek, który popełnia b ł ę d y. I nie człowiek, lecz instytucja czy urząd.

po prostu

Chcecie dowodów? Proszę. [...]

Oto na Wybrzeżu Rumuńskim w Gdyni zaczęto budować chłodnię. Wymurowano piwnice, po czym je natychmiast zasypano, bo chłodnia nie była potrzebna. [...]

Zakupiona za granicą maszyna do obróbki śledzia stoi bezczynnie, bo jej wydajność jest mniejsza niż wydajność robotników, pracujących bez tej maszyny. [...]

Aby jakoś ratować milion dolarów zapłaconych za niepotrzebny taśmowiec i stworzyć chociażby pozory, że jednak jest on wykorzystany, projektuje się przebudowę taboru pływającego na Odrze.

Dodajmy do tego niepotrzebne nikomu poczekalnię i rozdzielnię wybudowane w Gdyni przy Marchlewskiego, próby „ratowania” (znowu trzeba ratować) części pieniędzy zainwestowanych w urządzenia do eksportu żywca w Gdańsku, głośną już sprawę nieprzydatnych do pracy w porcie a zakupionych w wielkiej ilości dźwigów węgierskich i tak dalej i tak dalej.

Złotówki i dolary, niekiedy grube miliony złotówek i dolarów płyną szerokim strumieniem prosto w błoto.

Władysław Mergel

zarządzanie czy kierowanie

Uchwała VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR o sytuacji politycznej i gospodarczej kraju i zadaniach Partii oraz Uchwała tegoż Plenum o wynikach wykonania planu 6-letniego i podstawowych założeniach planu 5-letniego w latach 1956—60 stanowią niejako reasumpcję ogólnokrajowej dyskusji między innymi na temat zarządzania gospodarką narodową.

W treści uchwał znajdujemy wszystkie zasadnicze postulaty wysuwane w toku dyskusji prasowych. Mówi się tam o likwidacji nadmiernej centralizacji planowania i zarządzania, o dalszym rozszerzaniu uprawnień przedsiębiorstw socjalistycznych, o stworzeniu podstaw dla szerokiej inicjatywy społecznej, o kontroli gospodarki ze strony mas pracujących, o podniesieniu bezpośredniego materialnego zainteresowania załóg rezultatami gospodarki zakładu, o rolnictwie, rzemiośle itd. itd.

★

Okres poprzedni charakteryzuje się przede wszystkim coraz bardziej postępującą koncentracją funkcji zarządzania gospodarką narodową na szczeblu władz centralnych. O ile w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości funkcje zarządzania spoczywały w rękach kierownictwa zakładów, a niewielki centralny aparat gospodarczy sprawował funkcje kierownicze, o tyle z biegiem lat obserwujemy przesuwanie się coraz większej ilości funkcji zarządzania na coraz wyższe szczeble administracji. Jednocześnie wzrasta ilościowo administracja centralna. Tworzą się nowe ministerstwa i centralne zarządy. Jednakże i te komórki okazują się niewystarczające. Przesuwanie się funkcji zarządzania powoduje ogromny wzrost aparatu PKPG oraz tworzenie się urzędów wicepremierów. [...]

Niejednokrotnie czytaliśmy ze zdumieniem w prasie codziennej o tym, że często drobne posunięcia gospodarcze wymagają decyzji ministra, a niekiedy nawet wicepremiera lub przewodniczącego PKPG. [...]

★

Przedsiębiorstwo powinno otrzymać od państwa odpowiednią ilość środków własnych. Środki te będą przeznaczone na całkowite pokrycie przedmiotów majątku trwałego (maszyny, urządzenia, budynki itp.) oraz na częściowe pokrycie środków obrotowych. Pozostałe środki obrotowe potrzebne do prawidłowego funkcjonowania przedsiębiorstwa pokryje kredyt krótkoterminowy. [...]

Przedsiębiorstwo zawiera umowy kupna-sprzedaży oraz innego rodzaju umowy (wykonanie usług, budowa obiektów itp.) na zasadzie całkowitej dobrowolności. Zakres działalności produkcyjnej zależy od posiadanych urządzeń, od umów z odbiorcami, względnie przewidywanego zapotrzebowania, wreszcie od ewentualnej umowy z władzami centralnymi.

Przedsiębiorstwo dąży do osiągnięcia największego zysku w ramach ustalonych przez władze centralne cen maksymalnych, ponieważ w osiągnięciu tego zysku zainteresowana jest załoga. Osiągnięty przez przedsiębiorstwo zysk ulega podziałowi. Ustaloną przez władze centralne część odprowadza się do funduszu scentralizowanego (podatek). Pozostałą część dzieli się zgodnie z ustalonym dla danego przemysłu czy przedsiębiorstwa statutem na: a) fundusz przeznaczony na powiększenie własnych środków obrotowych przedsiębiorstwa, b) własny fundusz inwestycyjny, c) cele bytowe. O podziale funduszu „c” decyduje załoga. [...] Zabezpieczenie przed nadmierną wysokością funduszu „c” i możliwością powstawania rażących dysproporcji w efektywnych zarobkach pracowników pokrewnych przedsiębiorstw powinien stanowić odpowiedni system podatkowy (progresja podatkowa). Własnym funduszem inwestycyjnym może przedsiębiorstwo dysponować dowolnie. Jeśli natomiast kierownictwo przedsiębiorstwa uzna za potrzebę wprowadzenie inwestycji, której koszt przekracza własne możliwości, występuje o przyznanie kredytu inwestycyjnego (długoterminowego) z funduszu scentralizowanego. [...]

Co pewien okres kierownictwo przedsiębiorstwa zwołuje naradę całej załogi. Na zebraniu tym referuje się sytuację przedsiębiorstwa oraz omawia zamierzenia i środki, które należy podjąć dla uzyskania lepszych efektów gospodarczych. Raz do roku, po sporządzeniu bilansu zamknięcia, tego rodzaju zebranie decyduje o podziale funduszu „c”.

Prócz wewnętrznej kontroli przedsiębiorstwa stosować się powinno również kontrolę ze strony władz nadrzędnych. Tego rodzaju kontrola powinna badać pod względem formalnym i merytorycznym wykonanie obowiązujących przepisów, lecz przede wszystkim zwracać uwagę na efektywność działalności przedsiębiorstwa. W razie stwierdzenia, że przedsiębiorstwo jest prowadzone nieudolnie lub na wniosek przedsiębiorstwa, władza nadrzędna powinna wysyłać na miejsce odpowiednich fachowców, którzy pomogą dyrektorowi rozwiązać trudności lub zaproponują inne środki naprawy (np. podwyższenie cen wyrobów, zmniejszenie podatku, zmiana na stanowisku dyrektora itp.).

Olgierd Czerniewicz
Dymitr Nomańczuk
Janusz Szymańczyk

WYBRAŁ W. T.

Wybór publicystyki z roku 1956, zamieszczonej w „Po prostu”, nr 45, 50, 21 i 24.

historia i dzień dzisiejszy

swój w urodziwym terenie

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

SPŁUKIWANIE PODEJRZEŃ

Cztery miesiące upłynęły, zanim do redakcji „Kontaktów" dotarło pismo, kilkakrotnie już zapowiadane telefonicznie przez wojewodę Zientarę: „*[...] Z informacji uzyskanych przez Prokuratora wynika, że przeprowadzone dochodzenie nie potwierdziło zarzutów podniesionych w powyższej publikacji* („Grube ryby i węgorze". „Kontakty" 22/80 — p.a), *a w szczególności:*

1) nie dotyczy Franciszka Chrzanowskiego nielegalny odłów ryb (w tym węgorzy), 2) nie nabył on żadnej nieruchomości i nie buduje własnego domu — posiada jedynie niezabudowaną działkę letniskową, 3) nie stwierdzono w jego działalności nieprawidłowego rozdziału ciągników i maszyn rolniczych. Nie znalazły potwierdzenia także inne zarzuty sformułowane w artykule pod adresem Franciszka Chrzanowskiego.

Treść opublikowanego artykułu w istotny sposób podważyła autorytet naczelnika, co poważnie utrudnia mu sprawowanie urzędu terenowego organu administracji państwowej".

Samo napisanie sprostowania i podanie go do wiadomości publicznej jest rzeczą normalną, a w przypadkach uzasadnionych — nawet pożądaną. **Władze mają wręcz obowiązek reagowania na krytykę prasową, podobnie jak zadaniem prasy jest przekazywanie opinii społeczeństwa. Dlaczego jednak właśnie to „sprostowanie" wywołało takie poruszenie w Rajgrodzie? Dlaczego zaczęto mówić o „odnowie po staremu"?** Dlaczego zamiast dać wiarę prokuraturom i wojewodzie, coraz chętniej słucha się tych, którzy powiadają, że naczelnika łączą z Urzędem Wojewódzkim więzy krwi lub interesy? Wytłumaczenie tych faktów jest bardzo proste. Treść sprostowania mija się diametralnie z doświadczeniami i opiniami społeczeństwa. Miało ono podważyć wiarygodność dziennikarzy, a w rezultacie nadszarpnęło autorytet Prokuratury Wojewódzkiej, o której zaczęto mówić, że pracuje pod dyktando wojewody. Warto zatem byłoby w tym momencie przytoczyć treść ustaleń prokuratorskich, na które powołuje się Urząd Wojewódzki.

Pierwszą rozmowę z naczelnikiem Chrzanowskim prokurator Latos przeprowadził już w dniu ukazania się artykułu „Grube ryby i węgorze, tzn. 20.XI.1980 r. Ustalił wówczas m.in., że: „*Żona Teresa pracowała w Urzędzie Miasta i Gminy w Rajgrodzie od 1973 roku do 1.V.80 r. On* (Franciszek Chrzanowski — p.a) *został mianowany Naczelnikiem 12.II.1974 r. Z tego wynika, że od 12.II.1974 r. do 1.V.1980 r. żona była pracownikiem kadr, a on Naczelnikiem [...].*

W okresie od września do początków listopada 1980 r. była kontrola Wydziału Finansowego Urzędu Wojewódzkiego w Łomży. [...] Kontrola nie ujawniła żadnych poważniejszych usterek. [...] Chrzanowski wie, że mają na stanie kilka namiotów, rowery, lecz jaki jest stan tego sprzętu, nie wie. Na stanie Urzędu są również dwa kajaki i jedna łódź motorowa z silnikiem w złym stanie. [...]

Nazwisko Izabelak jest mu nieznane We wsi Sołki mieszka rolnik Wierciszewski posiadający około 20 ha ziemi, lecz wniosku o przydział traktora nie składał. Słyszał o postępowaniu ze skargi na I Sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego. Skargę tę wyjaśniał KW PZPR. Nic o kłusownictwie nie wie. PGR łowi przy użyciu agregatu prądotwórczego. Wacław Toczyłowski posiada prywatną małą wędzarnię, w której Chrzanowski wędził węgorze nabyte legalnie w Gospodarstwie Rybackim. (Notabene: naprawdę legalnie można by kupić rybę jedynie w sklepie Centrali Rybnej. Naczelnik jednak nie zadbał o jego powstanie. Kolidowałoby to m.in. z interesem GS-u, który, jak dotąd, dość skutecznie reperował swój budżet dzięki handlowi alkoholem — p.a).

Pierwszy talon w 1974 r. na Syrenę przyznany przez Wojewodę Białostockiego [...]. Drugi [...] na Fiata 126-p otrzymał w grudniu 1976 r. [...] Trzeci w październiku 1979 r.

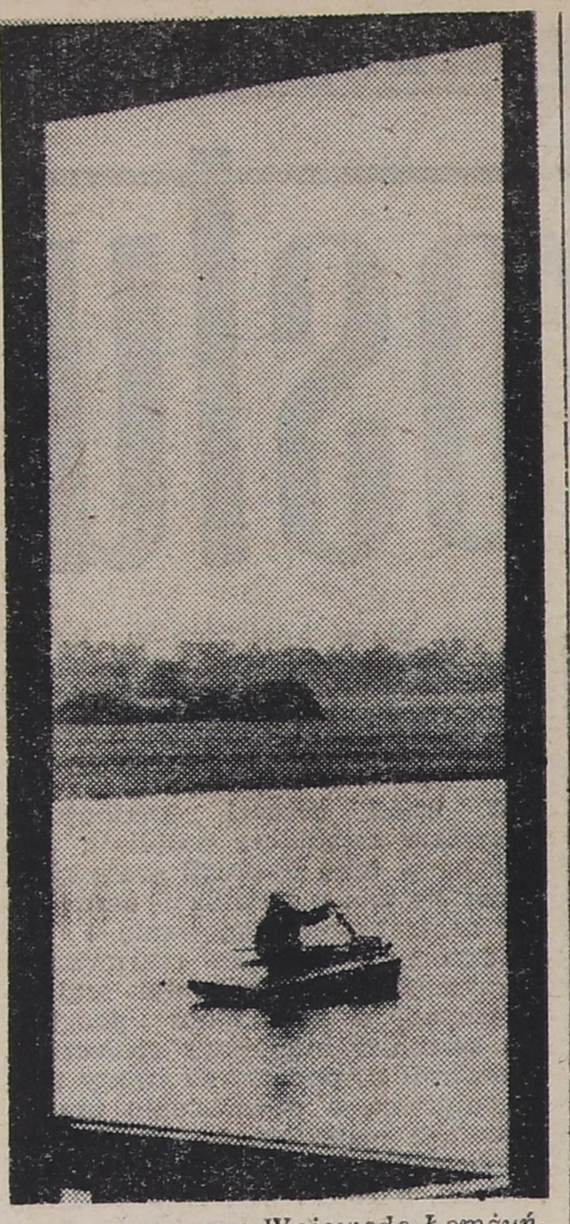

przyznany przez Wojewodę Łomżyńskiego na Ładę. Ten samochód posiada do dziś [...]".

Na początku grudnia ubiegłego roku prokurator Marian Latos przesłał do wojewody Zientary pismo następującej treści: „*Nawiązując do telefonicznej rozmowy z Obywatelem Wojewodą uprzejmie przedstawiam ustalenia z postępowania wyjaśniającego w związku z artykułem pt. »Grube ryby i węgorze«, »Kontakty« z dn. 23. XI.1980 r.*

1) W sprawie budowy domu. Z ustaleń w Grajewie i Łomży wynika, że Chrzanowski ani jego żona pozwoleń na budowę nie brali, ani nie nabyli żadnej nieruchomości. Z ustaleń Prokuratury Rejonowej w Grajewie wynika jednak, iż na nazwisko żony Franciszka Chrzanowskiego, Teresy, wydano w Urzędzie Miasta i Gminy Rajgród dn. 30.VIII. 1980 r. pozwolenie na budowę domu letniskowego nad jeziorem.

2) Odnośnie zarzutu niewłaściwego przydziału ciągników wyjaśniono, iż osoba o nazwisku »Izabelak« nie istnieje, jednakże przezwisko takie nosi pracownik UMiG w Rajgrodzie, Klemens Cepeliński, który decyzją Naczelnika otrzymał ciągnik produkcji radzieckiej oraz zezwolenia na budowę domu i budynku letniskowego nad jeziorem.

3) Zarzut posiadania mebli z Gminnego Ośrodka Kultury u osób prywatnych potwierdziła kontrola przeprowadzona przez pracowników Urzędu Wojewódzkiego.

4) Zarzut nielegalnego odłowu ryb, w tym węgorzy, nie dotyczy osoby Chrzanowskiego".

A jednak wśród Strażników Honorowych można znaleźć takich, którzy widzieli Chrzanowskiego kłusującego przy pomocy agregatu prądotwórczego.

Odpis tego dokumentu nie trafił do redakcji „Kontaktów", gdyż wojewoda chciał przedtem opatrzyć go dodatkowymi wyjaśnieniami. Spodziewamy się, że rzeczywiście miałby wiele do powiedzenia, chociażby w sprawie zbyt częstego przyznawania Chrzanowskiemu talonów na samochody. Pan Zientara nie uczynił jednak tego; zrobił natomiast co innego — zawęził i zniekształcił oficjalną informację. Nie będziemy wnikać w racje, którymi kierował się wojewoda fałszując ustalenia Prokuratury. Być może sam zechce wyjaśnić to Czytelnikom. My postaramy się jedynie dać panu wojewodzie i Prokuraturze jeszcze kilka (skoro nie wystarczą dotychczasowe), zupełnie przypadkowo wybranych, przykładów na to, że podważenie autorytetu naczelnika nastąpiło na długo przed publikacją artykułu i ze znacznie bardziej skomplikowanych powodów niż prozaiczna chęć oczernienia kogoś.

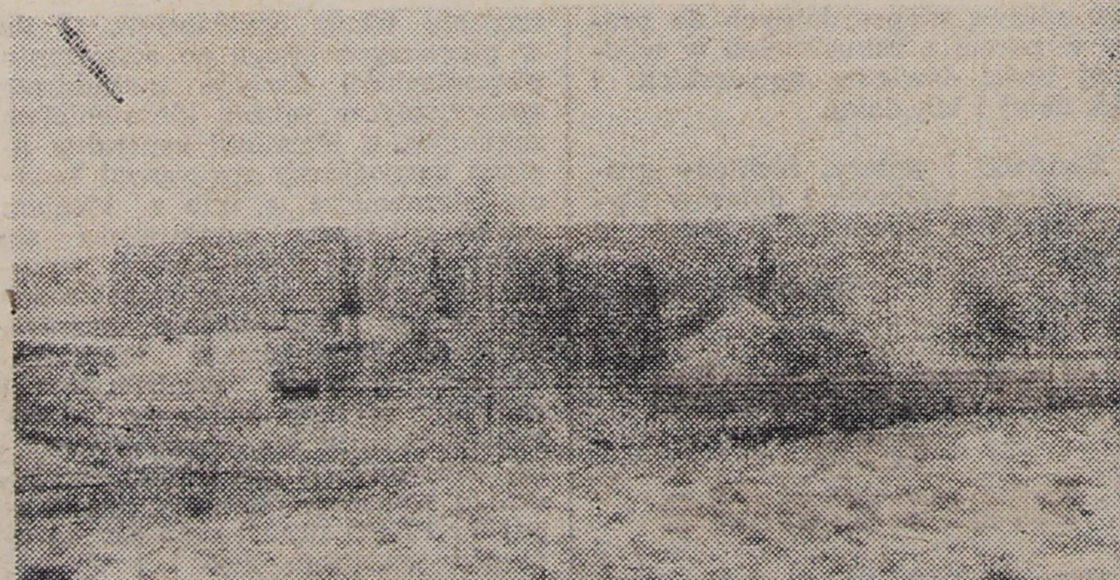

Fot. DANUTA WRONISZEWSKA

WĘGORZ POMIAROWY

— To był siedemdziesiąty czwarty rok. Chrzanowski dopiero co nastał. Byliśmy wynajęci do robienia drogi: sześć tysięcy złotych za metr. Robotę skończyliśmy, trzeba było wymierzyć dokładnie, ile się nam należy. Droga była na cztery metry. Jak Chrzanowski wymierzył, wyszło, że pięć. Ten metr był dla niego Nie chciał za to pieniędzy, tylko węgorze, ale myśmy uradzili, że damy mu po tysiącu, niech sobie sam kupi. Potem, jak nam dokuczył, postanowiliśmy powiedzieć o tym wszystkim prokuratorowi. Ale on za wiele nie wypytywał, tylko: jaki u naczelnika dywan na podłodze leżał. No i nas załatwił, bo kto tam wtedy na dywan się patrzył.

CICHE ŻALE

— Ciągnęło się to ze 3 lata, jak się starałem o ciągnik. Zależało mi na nim, bo gospodarkę na swną przepisywałem. Na ostatni guzik chciałem dopiąć. Poszedłem do Chrzanowskiego. „Napisz do wojewody, niech wie, że na terenie gminy Rajgród brakuje ciągników" — powiedział. Poszło to moje podanie do wojewody, wróciło do naczelnika. Napisał mi: *„Przydziału na rok 1978 nie mam i do 1980 nie będzie"*. A ja wiedziałem już, że Mulewski, ten, co mieszka na Rybczyźnie, za trzydziestkę, co to ją dostał na przydział, wziął 165 tysięcy (chociaż kosztuje 125) i za 2 lata znowu miał przydział. Jak powiedziałem naczelnikowi, co sądzę o takich kombinacjach, to za dwa tygodnie dostał syn zlecenie na sześćdziesiątkę.

— Chciałem kupić snopowiązałkę, ale nawet nie przyjęli podania. Trzeba było najpierw dać 20—30 tysięcy. Ta pani, która przyjmowała podania, była uprzedzona od kogo można wziąć, tzn. kto zapłacił. Np. taki Namiotko z Sołek: oddał w 1978 czy 1979 ziemię dla „Biebrzy", a mimo to dostał przydział na młocarnię. Sprzedał ją prosto ze składnicy. Miał za to ze 20 tysięcy zarobku, ale wiadomo: z kimś musiał się tym podzielić. Potem znowu wziął zlecenie na snopowiązałkę. Ja też wtedy pisałem, ale nie przyjęli, bo podobno nie było maszyn. Traf chciał, że akurat w tym czasie pojechałem do Grajewa. Widzę, stoi osiem sztuk. Pytam się, jak kupić. „Drogo kosztuje. Dasz pan 65 tysięcy? Jest w Sokołach taki Namiotko". Miałem przy sobie tylko 30 tysięcy, a wiedziałem, że syn pojechał do Bargłowa zadatkować. Niech tam, może się uda w Bargłowie. **Ale poszedłem do naczelnika i powiedziałem mu: „Jesteś handlarzem, a nie naczelnikiem". Zadzwonił Chrzanowski na Komendę, że taki i taki sprzedał ze składnicy. Namiotko zapłacił 4 czy 5 tysięcy kary, a zlecenie otrzymał inny. Komendant powiedział mi potem, że naczelnik dostał anonim na Namiotkę. My z synem kupili tę snopowiązałkę w Bargłowie; za 48 tysięcy.**

— Był raz mój syn w Grajewie. Zobaczył, że są roztrząsacze. Ale wiadomo, trzeba zlecenie od naczelnika. Napisałem podanie, zachodzę do Urzędu: „Nie ma roztrząsaczy. Przydziału nie mamy". Za tydzień idę po mieście — wiozą roztrząsacz do Zawadzkiego. Ja miałem 15 sztuk bydła, on 2, 3 sztuki.

GŁOŚNE SKARGI

Obowiązkiem naczelnika jest dbanie o rozwój własnej gminy, o interesy mieszkańców, których repre-

zentuje. Chrzanowskiemu nie zawsze udawało się to najlepiej. Kilka lat temu, kiedy już w pełni kwitła, rzadko zresztą odwzajemniana, miłość władz do specjalistycznych zespołów rolników indywidualnych, naczelnik z zadowoleniem powitał powstający zespół rodziny Popków: ojca, syna i wnuka. Dobrze zapowiadający się rolnicy dostali nawet kredyty na budowę obory. Oficjalnie umowa między członkami zespołu została spisana w styczniu 1976 r. Opiewała na wspólne gospodarowanie ziemią i budynkami przy podstawowej produkcji — bydła mlecznego. Umowa precyzowała m.in. wkład ziemi każdego z członków: Piotra — 9,05 hektara, Zdzisława — 5,02 (wydzierżawił ją w 1975 r. z możliwością zakupu po upływie terminu pięciu lat) i Waleriana — 4,9. Razem 18,97 hektara. W umowie podany był również wiek każdego z zainteresowanych: Piotr urodzony w 1925 r., Zdzisław — w 1953, i Walerian — w 1902 Paragraf 5 dokumentu przewidywał możliwość rezygnacji z członkowstwa. Dnia 9.08.1977 r. naczelnik MiG w Rajgrodzie wydał „Kartę gospodarstwa specjalistycznego na łączną powierzchnię użytków rolnych 18,97 ha, kierunek specjalizacji — bydło mleczne".

Z początku spółce Popków układało się jakoś: stawiali oborę, zwiększyli ilość bydła, krowy uzyskały licencje. W roku 1976 odstawili 15,4 tysięcy litrów mleka, a już w 1978 39 tysięcy. Na rok 1980 mieli przewidziane 60 tysięcy. W międzyczasie Zdzisław postanowił nabyć dzierżawione przez siebie grunty. Dnia 31.08.1977 r. wysłał do UMiG stosowne podanie. Po pięciu miesiącach otrzymał je z powrotem bez konkretnej odpowiedzi. Natomiast w rok później dostał zawiadomienie następującej treści: „*W związku z kontynuacją prac urządzeniowo-rolnych na obiekcie »Kuwasy« wypowiadam Obywatelowi z dniem 1.09.1978 r. umowę dzierżawną zawartą dn. 4.01. 1975 r. na pow. 5.02 ha położoną w mieście Rajgrodzie i z dniem 1.09. 1979 r. uważam za rozwiązaną*". Za tą decyzją poszła natychmiast inna: „*Skreślić z rejestru gminnego zespół rolników indywidualnych znajdujących się w Rajgrodzie o kierunku produkcji — bydło mleczne [...]. Uzasadnienie: Zespół [...] powstał w 1977 r. Z przeprowadzonych lustracji zespołu wynikało, że brak jest w nim zespołowego działania. Zespół nie dawał zaplanowanej produkcji, a ponadto w ostatnim okresie z zespołu wystąpił Ob. Popko Walerian. Biorąc powyższe fakty pod uwagę postanawiam jak w sentencji niniejszej decyzji*".

Oczywiście, takie uzasadnienie niczego nie tłumaczy, szczególnie że umowa przewidywała przecież możliwość odejścia członków z zespołu. W innych wyjaśnieniach naczelnik argumentował decyzję poprodukcyjnym wiekiem Waleriana Popko, jak gdyby nie wiedział, że w chwili zawierania umowy był on już po siedemdziesiątce.

Skargi do zwierzchników wojewódzkich i ministerialnych nie przyniosły żadnych efektów. Nikt także sprawy nie zbadał na miejscu. W końcu Popkowie machnęli na to ręką. W roku 1980 oddali Spółdzielni wszystko — ziemię i oborę. Zdzisław poszedł do państwowej roboty: — Jeżdżę na tym ciągniku — ruinie i bimbam na wszystko. Już mnie serce nie boli, że deszcz pada, że nie ma gdzie kupić pasz. Myślę tylko sobie, że chyba więcej naczelników w Polsce tak dba o chłopów, skoro nie mamy co jeść.

Jesienią 1980 r. Spółdzielnia Produkcyjna wzbogaciła się także o ziemię wyłuskaną od Juliana Skiendziela. Naczelnik powiedział, że to przykazanie z góry, i 8 hektarów powędrowało do nowego gospodarza. Spółdzielnia miała rzekomo produkować trzodę chlewną, ale ostatecznie sieje zboże. Julian Skindziel hodował krowy. Teraz musi je częściowo likwidować, bo zabrakło dobrego pastewnika. Ale i tak wyciąga milion dochodu rocznie, a Spółdzielnia jedzie na deficycie. Nie pomaga jej nawet fakt, że otrzymuje dotację państwową na tak zwane rekultywowanie przejętych gruntów. „Tak zwane", gdyż ziemia nie wymaga takich zabiegów.

„Użytkuje" więc Spółdzielnia także grunty Juliana Skiendziela, a

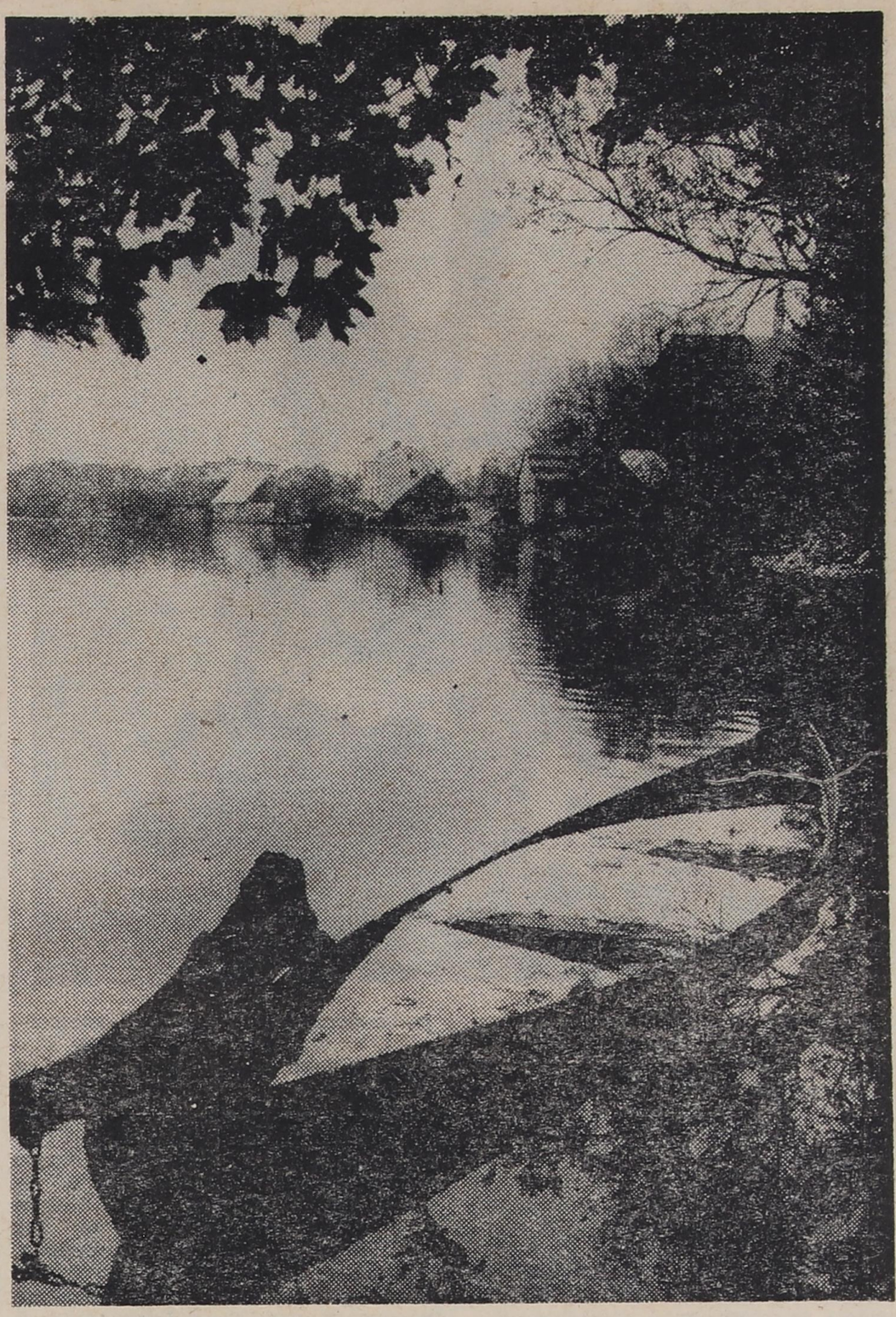

odwołania właściciela odbijają się jak od muru. Nic dziwnego, skoro skargi bada się rzadko, a jeżeli już, to raczej „rozpatruje" zza wysokiego biurka. Dlatego cennym rodzynkiem wydaje się pismo Wydziału Kontroli i Instruktażu Urzędu Wojewódzkiego z kwietnia br., które potwierdza zasadność skargi na naczelnika Chrzanowskiego, posądzonego o fikcyjne zatrudnienie ob. Z. G. Zakończenie pisma brzmi optymistyczno-enigmatycznie: „*Sprawa wyciągnięcia konsekwencji wobec Naczelnika Miasta i Gminy za naruszenie przepisów prawnych przy zatrudnianiu pracownika zostanie rozpatrzona przez odpowiednie organa*".

OFICJAŁKI I PRZYTULISKA

Do wiecznego remontu Urzędu Miasta i Gminy rajgrodzianie zdążyli się już przyzwyczaić. Mimo to denerwuje ich niekiedy widok pijanych budowlanych. Pieniądze biorą,

piją równo, a remont nie posuwa się ani na jotę. Co skrzętniejsi sąsiedzi wyliczają, że za stracone pieniądze można byłoby wybudować dwa takie budynki, a już na pewno wsadzić naczelnika za kratki. Co by się jednak nie plotkowało, jedno jest pewne, że na rok przed planowanym remontem naczelnik zarządził kładzenie nowej elewacji. Kosztowała w sumie kilkaset tysięcy bezproduktywnie zmarnowanych złotówek. Wszystko to denerwuje tym bardziej, że przy wyjątkowo żółwim tempie remontu Urzędu, zadziwiająco szybko postępuje modernizacja tzw. „Agronomówki", przeznaczonej na „przytulisko" dla naczelnika. Ale może to już przemawia zwyczajna ludzka zawiść?

Od kilku lat, odkąd zaczął się remont, przejścia chodnikiem wzdłuż Urzędu Miasta i Gminy strzeże wysoki, solidny parkan. Jak na ironię — w sam jego środek, na wysokości (obecnie jeszcze nie użytkowanych) schodów, prowadzi oznakowane przejście dla pieszych. Każdego, kto zapuści się nim, czeka dość niebezpieczna wędrówka ulicą wzdłuż parkanu. Dnia 14 kwietnia br. stało się wreszcie to, co mogło się stać bardzo dawno: samochód jadący zbyt blisko krawężnika zmiażdżył kołami, nie mającą gdzie uskoczyć, 76-letnią staruszkę. Od tego wypadku upłynęło już sporo czasu. Parkan jak stał, tak stoi, chociaż prace na frontonie budynku dawno zostały ukończone. Trudno wyobrazić sobie, by naczelnik nie miał wpływu na to, co i w jaki sposób robi jego brygada remontowa. Ale tego nie da się chyba rozpatrywać inaczej niż w kategoriach odpowiedzialności moralnej.

DZIAŁKI NAWOŻONE ŚMIETANKĄ

Cóż jednak znaczy — odpowiedzialność moralna? Tyle co żadna, bo nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. Najwyżej wymuszone „przepraszam". Bo przecież formalnie nie są żadnymi przestępstwami: zwykłe niedopatrzenie, uchybienie służbowe, drobne naruszenie przepisów, przekroczenie kompetencji... Za to nie idzie się za kratki i nie ma o co rozdzierać szat. Że ludzie trochę niezadowoleni? Jeszcze się taki nie urodził... A władzom wygodniej, gdy siedzą ci, których już się dobrze zna. Szczególnie że wpadają tu czasem. Region piękny: jeziora, lasy. We wsiach podrajgrodzkich — Tamie, Tworkach, Czarnejwsi — domy wczasowe i działki rekreacyjne.

— Miałem kilka hektarów w jednym kawałku. Uznali, że się akurat nadaje na działki rekreacyjne. Wytyczyli, paliki powbijali, a cenę ustalił naczelnik: do 20 złotych za metr. Ale samiśmy sprzedawać nie mogli, chociaż tu drzwi się nie zamykały od chętnych. Naczelnik ustalił listę. Nie wszyscy się zgłosili, część zrezygnowała. Pieniędzy nie ma i na ziemi nie bardzo daje się robić. Szpadlem na niej nikt kopać nie będzie, a maszyną nie wjedziesz. Niektórzy powyciągali paliki i uprawiają, ale geometra powiedział, że za każdy jeden płacić będą 1000 złotych. Ziemia klasy IV a, b, V i VI.

Zastanawiają się właściciele, jak długo będą czekać, aż zgłoszą się pozostali amatorzy działek lub od kiedy dostaną zezwolenie na samowolne decydowanie o tym, komu i za ile odsprzedadzą swoją ziemię. Odpowiadałoby im towarzystwo nauczycieli, którym naczelnik nie zezwolił na kupno; chętnie sprzedaliby działkę komuś z bliższej lub dalszej rodziny. Cóż z tego, skoro naczelnikowi nie odpowiadają ich kandydatury. Nie mieszczą się w kryteriach.

U jednego z rolników naczelnik „usadowił" trzy znane obobistości łomżyńskiego sądownictwa, kilku wysokich funkcjonariuszy MO, lekarzy. W innym miejscu — podobnie. Najlepsza działeczka, tuż nad jeziorem, zarezerwowana dla Bardzo Wysokiej Osobistości, czeka chyba na lepsze i spokojniejsze czasy. Nieco dalej — mały skraweczek dla samego pana naczelnika. Dobrze sobie wybrał, bo chyba najtaniej — po siedem złotych za metr. Nic jeszcze na nim nie zdążył pobudować, a już ludzie komentują, że domek był, ale znikł. Nie dowierzają nawet zapewnieniom tych, na których terenie działka powstała.

Oczywiście, nie ma nic zdrożnego w tym, że ludzie dobrze sytuowani lokują swoje oszczędności w działkach i domkach letniskowych. Przy tak dostępnych cenach ziemi stać by na nie było także średnio zarabiających. Szczególnie że miały to być domki drewniane, najchętniej stare, „zabytkowe", tanie i folklorystyczne. Nad najczystszym jeziorem. Idylla. Ludzi drażni jedynie ta naczelnikowska lista. Gdyby chodziło o pomoc rolnikom, pan Chrzanowski nie byłby tak skwapliwy i zapobiegliwy. Ale idzie przecież o łomżyńską śmietankę. Znajomość z każdym jej przedstawicielem może kiedyś zaprocentować.

O interesach rolników zapomniał jakoś pan naczelnik w codziennej krzątaninie. A przecież mieli obiecany — za pomoc w stworzeniu ośrodka wczasowego — sklep, ba, nawet dom kultury. W samym Rajgrodzie też nie widzi się zaangażowania naczelnika. Zmiany zachodzące w kraju, nie zaktywizowały jakoś lokalnych władz. Nikt nie organizuje spotkań z mieszkańcami, nikt nie pyta rolników, czy mają jakieś kłopoty, może chcą się samorządzić, albo działać przez kółka rolnicze, spółdzielnie produkcyjne bądź „Solidarność".

Aktyw partyjny od grudnia czeka na poinformowanie go o ustaleniach Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w sprawie zarzutów postawionych sekretarzowi Rutkowskiemu. Towarzysz Kacprzak był na zebraniu egzekutywy, wszystko zanotował, miał przekazać wyżej i... cicho. Przypuszcza się więc, że, ponieważ w demokratycznych wyborach Rutkowski nie ma szans, już wkrótce, dobrym zwyczajem, awansuje na prezesa łomżyńskiego okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego.

Na razie jednak wszystko po staremu. Ci sami ludzie, te same problemy. Czasem tylko jakaś nowa pogłoska rozemocjonuje ludzkie umysły. Teraz np. czekają wszyscy na figury, które naczelnik miał rzekomo zamówić, kosztem pół miliona złotych, dla upiększenia miasta. Co złośliwsi twierdzą, że jedna z figur „bronić" będzie Rajgrodu od strony Łomży, druga — od Augustowa. Pięknie by było. Symbolicznie.

Fot. GABOR LÖRINCZY

WŁADYSŁAW TOCKI

robić nie chce jeść nie woła

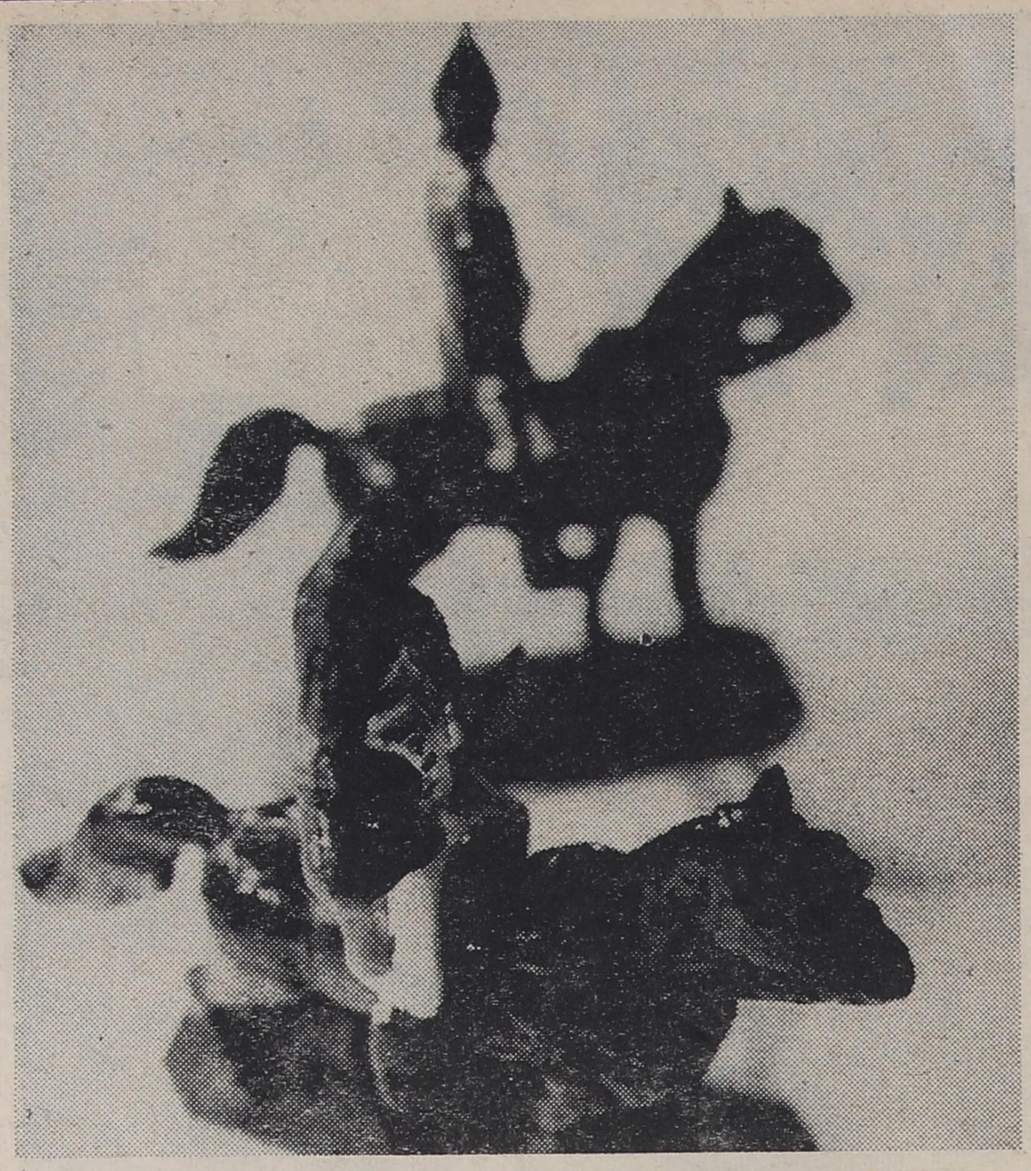

Z cesarzem gospodarz jest na ty. Właściwie jednostronnie. Bo Cesarz milczy. Trudno więc powiedzieć, jak znosi tę poufałość. Wprawdzie ongiś lubił słuchać, gdy chłopcy znad Wisły, znad Narwi krzyczeli: „Ty nasz!" Bardzo lubił. Stawał wówczas przed nimi i — milcząc — czołem wzniesionym oddawał pozdrowienia. Znieruchomiały, ze ściągniętymi żołniersko piętami, z dłonią za połą błękitnego munduru. Znieruchomienie w oka mgnieniu przechodziło w szeregi. Jak teraz we mnie: w kirasjerskim nagle czako, z szabelką gołą w słońcu. — Znak daj, Wodzu!

— Robić nie chce, ale jeść nie woła, to stoi — śmieje się gospodarz, skinięciem brody wskazując Cesarza.

Ja w sztruksach znowu, we flanelce, z torbą podręczną pod pachą. A Cesarz stoi na postumencie, wśród krzewów i przedwiosennie szczypiorkowatej trawy, przed frontem domu z tabliczką numer dwa we wsi Rosochate. Cesarz wielki, największy Cesarz, Napoleon I Bonaparte. I twarz ma zwróconą ku górze.

Za drogą brama. Ubite, szerokie koleiny, ginące gdzieś na placu, wokół którego szare, standardowe garaże. Gdyby rosło tu zielsko byle jakie, w kieszeni gminy zostałyby cztery, a może i więcej milionów złotych. Takim bowiem deficytem zamykał jeszcze dwa lata temu swą działalność miejscowy SKR. Nowy dyrektor w przeciągu tych lat zmniejszył go o dwa i pół miliona, ale i tak się mówi, że najbardziej opłacalne byłoby zaoranie placu, zasianie trawy albo nawet machnięcie ręką na ten skrawek ziemi. Choć ziemia tu dobra.

O nowym dyrektorze usłyszeć można różnie. Również to, że w bazie popędził ludziom trochę kota. W każdym bądź razie widzi się rankiem, koło siódmej, obrazki wcześniej nie oglądane: sunie jeden za drugim krokiem żwawym. Co kilkadziesiąt metrów lewica przed siebie, zgięcie w łokciu, cyk na zegarek i jakby pociśnięcie gazu.

Najbardziej cierpi na tym Cesarz. W tym pośpiechu, wyciąganiu kroku, mało kto okiem rzuci w jego stronę — ostry skręt w prawo i po chwili plecy znikają wśród maszyn. Zresztą może nie tylko przez pośpiech. Cesarz wrósł w ten ogródek jak przydrożne drzewo, na które na co dzień nie zwraca się uwagi. I jak najczęściej nie wiadomo, kto je sadził, tak trudno dociec, skąd we wsi wziął się pomnik Cesarza.

W rok „urodzaju i wojny", 1812, dąb tu podobno stał ogromny i Cesarz, na mocarza drugiego idąc z armią potężną, przysiadł pod nim, odpoczął, pożywienie spożył. Dlatego teść poprzedniego właściciela obejścia, Stanisława Lewandowskiego, na pamiątkę tamtych dni — na postumencie, przed domem, Cesarza uwiecznił.

— Odkąd pamiętam, Cesarz we wsi był — mówią starsi. Ale klaruje się i inna fabuła, mało odległa, z lat mroku. Rzeźbiarz z Warszawy, chroniący się w Rosochatem przed Niemcami, sztuką gospodarzowi za opiekę się odwdzięczył — Cesarzem, z którym szła kiedyś nadzieja na wolność.

Pozornie prosta sprawa. Wystarczy spotkać się ze Stanisławem Lewandowskim, wyjaśnić. Jeżeli nie do końca, przynajmniej ustalić wersję. Stanisław Lewandowski wyjechał jednak pięć lat temu ze wsi. Niedaleko. Do miasteczka. Kilkanaście kilometrów. I sąsiadom nawet nie zostawił nowego adresu. Więc może wcale nie miałby ochoty wracać do miejsca, w którym przeciął się szlak jego i Cesarza życia. Bo Cesarz na pewno na ten szlak powrócić by nie chciał.

Teraz tu cicho i skowronnie. Przepiękny banał wiosny; nim dobrnie — osuszonym polem, fioletowym kiełkiem ziemniaka, nadętym od ciepła i wilgoci ziarnem — do zwyczajnej chłopskiej roboty.

A ludzie w Rosochatem muszą być pracowici. I uparci. I myślący.

Od Cesarza do sołtysa droga daleka. W Rosochatem również dosłownie. Pokiereszowaną asfaltówką trzeba przejść na drugi brzeg. Tak mówią ludzie. Bo wieś — jakby odmierzył — środkiem przecina nikły strumyk, teraz rozdęty sennie, rozlazły po łączkach, nasączony spływającą z pól wodą.

Po drodze tu i ówdzie strzecha, drewniana chałupka. Niknie jednak ten kurny sztafaż w bieli cegły, w nieskromnym, wręcz nieobliczalnym, kłócącym się z wyobraźnią, rozmachem białych, nowych murów — potężnych obór, stodół, piętrowych murowańców, stawianych jakby w odwet za wiekowe jednoizbowe „kuźnie". Bo nie tylko z przedsierpniowego rozbuchania.

— Na to, co mam — słucham i zataczam krąg za ręką gospodarza — pracował i dziadek, i ojciec. Nie stawiali nic, nie budowali, ale gospodarka nie była zapuszczona. Zaczynałem od pułapu, do którego doszli oni.

Dąbrowski jest hodowcą od dwudziestu paru lat. Zaczynał, jeszcze z ojcem, od kur; teraz ma osiem krów z metryczkami, zarodowe jałowice, sześćdziesiąt loszek. I od niedawna kłopoty. Zresztą nie tylko on. Na ośmiu hodowców zarodowego bydła — trzech od pewnego czasu nie może znaleźć wspólnego języka z zootechnikiem Rejonowej Stacji Oceny Zwierząt w Piątnicy.

— Nie ma co robić z tego afery i pisać właściwie nie ma o czym — przekonuje Dąbrowski. — Rozwiązanie na przyszłość jest dość proste. Muszę w Związku Hodowców Bydła przypilnować postulatu, aby opiekunowie kół zmieniali się co trzy lata. Nie będzie czasu na nadmierne kumoterstwa, a w razie konfliktu sam zniknie, gdy przyjdzie nowy człowiek.

Dąbrowskiego boli jednak bardziej co innego. Nie tyle złośliwe zarzuty, iż jest nieuczciwym hodowcą — zawsze odparte i łatwe do podważenia — co paszkwil zootechnika, skierowany do milicji, w którym stwierdza, że gorszy on jest od Szczepańskiego, Tyrańskiego. Te nazwiska przy jego!

Na drugi brzeg — ten, gdzie z Rosochatego, skrzyżowaniem, wyjść można na cztery strony świata — po solidnym mostku nad nikłym strumykiem depczę który to już raz? Więc zatrzymać się wypada, popatrzeć w wodę. Taką wodą, skojoną, tlenną, ryba iść może na wiosnę. Węgorz na dalekie tarło. A i czupryna już jakaś, nad barierką spuszczona, tkwi od dobrej chwili. Staję wobec tego głowa w głowę, pochylam na wzór tamtej i — gapienie przyjemne, darmowe. W wodzie cisza. Wypatrywany grzbiet z płetwą nie błyska. To papierosik. Gadu-gadu o ich braku. O rybce.

— Ryby tu nie ma — spluwa sąsiad zza łokcia i prostuje kark. Młody chłopak. Twarz jakby gdzieś widziana. Może to wynik mojego szwendania się po wsi.

Przed zakrętem na mostek, z niewielkiego wzniesienia, ceglasto wżyna się w niebo wiekowy kościół. W nim właśnie Włodzimierz Sokorski brał ślub ze swoją pierwszą żoną, panną Marynią. Pamiętają ludzie: i ślub, i Sokorskiego. Tym bardziej że od czasu do czasu przypomni swe oblicze w telewizji.

Na wprost głównego wejścia do świątyni — plebania z zatrzaśniętymi od wewnątrz okiennicami. Stary proboszcz umarł niedawno, wikary mieszka w wikarówce. I tu pechowo drzwi zamknięte. Więc z chętki szperania w przepastnych parafialnych księgach nic i tym razem nie wyjdzie. Nie będzie zatem o Cesarzu pisanego słowa, nawet gdyby tkwiło gdzieś na pożółkłych stronicach foliałów. I o słowo mówione niełatwo. Ludzi tu trapią — może poza moim przyjacielem z mostka — sprawy zupełnie nie cesarskie. Drogi. Szkoła. Samorząd wiejski. Sklep. Pasze. Węgiel. Gdyby się ktoś uparł, starczyłoby zapewne na cały alfabet.

Droga tu dobra jedynie przez wieś. Z pól, z jej krańców, dostać się do centrum nie tak łatwo. Bywa, wozacy rezygnują z pracy, bo traktor przyczepy z bańkami pociągnąć nie może. Zresztą — po co polami łazić. Pod samą zlewnią topiel, że samochodem trudno pod rampę podjechać. A w miejscu tym akurat największy we wsi ruch, bo obok zlewni sklep, niedaleko przedszkole, ośrodek zdrowia. Więc przedszkolanka nieraz wynosi dzieci na własnych rękach. Sklepowa zapłaci mandat Sanepidowi za naniesione błocko.

Ludzie zrobili już sami, co mogli. Wykopali łopatami rów, przywieźli piachu. Robota na marne, gdyż potrzebne tu dreny, rów głęboki, kamień i ciężki sprzęt do utwardzenia. Duperelny odcinek, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów, lecz gmina, jak dotąd, tak właśnie sprawę traktuje — duperela. Na razie więc niejeden z odchodzących spod sklepu z siarkowo-jabcokową czkawką znajduje w rozmamłanej bryi swą prywatną, osobistą Berezynę. Wino można w sklepie otrzymać zawsze, niezależnie od wywieszki.

— Przez tę Bydgoszcz, te strajki, jaki tu spokój u nas — słucham zdumiony. — No, zewnętrznie, bo każdy myśli to samo. Ale z winem koniec. Nie wolno. Jak pan myśli, co z tego wszystkiego wyniknie?

Kilkanaście tygodni temu zaczęła się w Rosochatem organizować „Solidarność Wiejska".

— Ludzie są spokojni — powie później sołtys — ale nie chcą już sobie dawać w kaszę dmuchać.

Więc zebrali się, sporządzili listę, wybrali przewodniczącego. O kółkach było coś cicho, luka taka, że nie wiadomo, co dalej ze wsią będzie. Znowu nowe przetoczy się obok niej? Siedzieć zatem i czekać?

— A pan za „Solidarnością" czy przeciw — pyta wysoki, dobrze zbudowany chłop, gdy wracam do tamtych dni. — Bo wie pan, różnie się mówi. U nas przewodniczący „Solidarności Wiejskiej" został przewodniczącym Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Ludzie go wybrali. A czytam, słucham, i można pomyśleć, że ludzie na siebie już z widłami naskakują, nawet w rodzinach. O co idzie nam, chłopom? O chłopski interes, a tu my zawsze razem.

— Chciała gmina narzucić swego człowieka na przewodniczącego? Chciała. Lecz my: hola! Kandydatów potrafimy podać sami. I człowieczek nie wszedł nawet do zarządu. Od dziesiątej rano do prawie dziesiątej wieczór trwało zebranie. A urzędasy, nie ubliżając nikomu, to jednak urzędasy, szczwane liski. Gdy wybrano zarząd, zaproponowali obiad, przerwę, i dopiero wybór przewodniczącego. Przez członków zarządu. Nie, nie ma obiadu, nie ma zarządów, nie ma później; teraz wybieramy wszyscy, a potem wyżerka.

— Teraz nowy statut kółek niczym prawie nie różni się od statutu „Solidarności Wiejskiej". Też jest prawo do strajku. Pytali niektórzy: niby jak, mleko świniom wylewać? Nie, możemy wsiąść na traktory, pojechać, jak jeden, do naczelnika, a wtedy i wojewoda nas usłyszy. Jeśli nie, można pojechać i do niego.

— Tylko w telewizji, w gazetach, wysokim mówcom zza biurek się śni, że gdy mój sąsiad znajdzie się w kółku, a ja w „Solidarności" albo odwrotnie, to będzie podział. Czy on nagle będzie miał inne sprawy niż ja? Jemu nie będzie już chodziło o drogę, o szkołę, o to, żeby chłopem nie pomiatać? Już ja wiem, kto by nas chętnie poróżnił, żeby znowu chłopa można było w capa robić.

Słucham i myślę, że gdyby władza była bliżej — można by z tymi ludźmi zrobić wszystko. Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku Rosochate dobrowolnie opodatkowało się po dwieście złotych od hektara rocznie i bez niczyjej pomocy zaczęło rozbudowę szkoły.

Stara, drewniana szkoła jest niewątpliwie oryginalna architektonicznie. Mniej — powiedzmy oględnie — w wyposażeniu. Ale już na jej tyłach wyłażą z ziemi fundamenty, obok leżą niewielkie sterty białej cegły. Nie ma wieś nawet przydziału na cement, więc ludzie biorą na swoje nazwiska i odstępują szkole. Gmina ani Urząd, ani Zbiorcza Szkoła w tym nie uczestniczą. A pieniędzy ze składek może zabraknąć. Wprawdzie Kółko podjęło uchwałę, że tegoroczny Fundusz Rozwoju Rolnictwa przeznaczy na szkołę, nie wiadomo jednak na razie, ile tego będzie. Wznoszony pawilon ma zaś pomieścić cztery klasy lekcyjne, salę gimnastyczną, sanitariaty. Nie będzie to taka sobie przybudówka.

Stefan Janczewski, sołtys, zawiaduje więc wsią, która nie wypadła nikomu spod ogona. I dość bogatą: na około sto dymów — sześćdziesiąt to całkiem niezłe gospodarstwa. Jest też jedynym w Polsce sołtysem, który ma pod sobą Cesarza.

A ten ma kłopot największy. Bo jakże — z racji nadrzędności władzy sołeckiej — nie zwracać się do niego „Wasza Wysokość". Jest jednak jeszcze racja czasów, która dyktuje miano „Obywatel". Więc może starym otomańskim zwyczajem Cesarz powinien wymieniać wszelkie możliwe formuły: Jego Wysokość Obywatel Sołtys?

Fot. GABOR LORINCZY

dziedzictwo

kawalerskie znoje

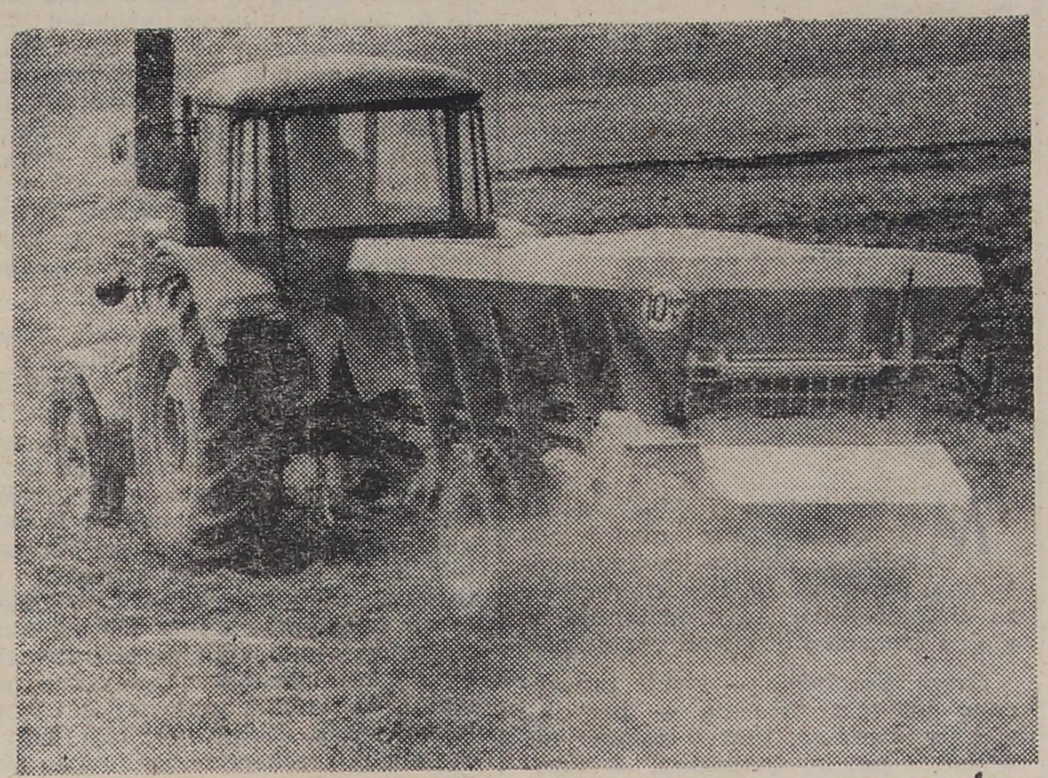

22 VI, niedziela. Około południa na komunię do Słabuszowic. Tam poznałem Jolę. I znów się nic nie pamięta.

23 VI, poniedziałek. Skoszono koniczynę u nas.

24 VI, wtorek. Wysiadło łożysko od koła. Ja rozebrałem, tatuń do Ozorowa po łożysko.

25 VI, środa. Wywiozłem nawóz pod buraki. Tatuń z babcią w Wojciechowicach, ja obkosiłem koniczynę i zacząłem siać nawóz. Przeszkodził deszcz.

26 VI, czwartek. U Świątka radlę ziemniaki, następnie kończę siać nawóz po burakach i radlę ziemniaki u nas oraz plewię mak. Tatuń z mamunią na pogrzebie Dorotki Ś.

27 VI, piątek. Mamunia do Opatowa, ja planetować i znów deszcz.

28 VI, sobota. Deszcze od samego rana. Wieczorem w domu.

29 VI, niedziela. Około południa poszliśmy z Jurkiem grać w siatkówkę, wieczorem byłem na zabawie w Bidzinach.

30 VI, poniedziałek. Zaradliłem ten kawałek ziemniaków, ukosiłem koniczyny i rozsiałem 1,5 q mocznika po burakach. Dzisiaj IV rocznica śmierci brata.

1 VII, wtorek. Od rana plantowanie buraków. Splantowałem 30 radlanek, zostało 26.

2 VII, środa. Deszcz od samego rana.

3 VII, czwartek. Plewienie buraków.

4 VII, piątek. Nic szczególnego.

5 VII, sobota. Siedzenie cały dzień.

6 VII, niedziela. Byliśmy na grzybach z Jurkiem S.

7 VII, poniedziałek. Przewróciliśmy koniczynę.

8 VII, wtorek. Skopiono koniczynę u nas i u pana Świątka.

9 VII, środa. Zaczęto kosić trawę.

10 VII, czwartek. Też trawa; wieczorem na golbie.

11 VII, piątek. Zwożenie koniczyny u Świątka.

12 VII, sobota. Zwożenie koniczyny u nas, wieczorem w Słabuszowie na dyskotece.

13 VII, niedziela. Cały dzień doma.

14 VII, poniedziałek. Zaczęto dziobać ziemniaki.

15 VII, wtorek. Jasice, trawa i deszcz.

16 VII, środa. Do południa ziemniaki, po południu deszcz.

17 VII, czwartek. Dziobanie ziemniaków, wieczorem golba.

18 VII, piątek. Zaradlono ziemniaki i przewrócono trawę.

19 VII, sobota. Na zabawie w Lisowie, później w Pieleszowie.

20 VII, niedziela. Na zabawie w Wojciechowicach. Deszcz.

21 VII, poniedziałek. Deszcz cały dzień.

22 VII, wtorek. Też deszcz.

23, 24, 25 VII — środa, czwartek, piątek. Deszcz.

26 VII, sobota. Deszcz, wieczorem w domu.

27 VII, niedziela. Rano w kościele, po południu gramy w siatkówkę.

28 VII, poniedziałek. Nic szczególnego, znów deszcz.

29 VII, wtorek. Dzisiaj skoszono rzepak kosiarką rotacyjną, po południu deszcz. (T. pijany).

30 VII, środa. Wywiozłem obornik od świń pod warzywka, deszcz cały dzień. (T. pijany).

31 VII, czwartek. Dzisiaj pogodnie, przewrócono trawę.

1 VIII, piątek. Zwieziono 4 wozy trawy.

2 VIII, sobota. Rano do Wojciechowic z babcią w celu przepisania ziemi na mnie. Po południu na wesele do Jarka S., trochę popiłem.

3 VIII, niedziela. Omłócono rzepak. (T. pijany).

4 VIII, poniedziałek. Zebrałem rzepak w worki i zawiozłem do spichrza.

5 VIII, wtorek. Sprasowano trawę rzepaczankę i to zwieziono. Z Leszkiem na Łopacie 4 golby i ze Zbyszkiem 3.

6 VIII, środa. Tatuń z mamunią jadą do Jasic z rzepakiem, było tego 7,50.

7 VIII, czwartek. Mamunia na pielgrzymkę do Krakowa. Tatuń po pieniądze za rzepak. Przyjechał pijany. Ja w domu.

8 VIII, piątek. Obkosiłem pszenicę i jęczmień.

9 VIII, sobota. Zacząłem podorywkę pod buraki, obciąłem włosy i wypiłem kilka golb. Wieczorem na zabawie w Tułkowicach (T. pijany).

10 VIII, niedziela. Przyjechał Janusz W., wypiliśmy 3 golby z Jankiem P. Witkiem Sz. Następnie w piłkę. Przy szosie w barze 5 golb. (T. pijany).

11 VIII, poniedziałek. Dzisiaj rozpoczęto żniwa. Skoszono jęczmień.

12 VIII, wtorek. Skoszono pszenicę i u nas, zwieziono 2 wozy. Wieczorem ja, Zbyszek S., Witek Sz., Janek P., Ela Ś., Mona i tatuń — wypito 4 golby. Deszcz.

13 VIII, środa. Deszcz od samego rana, gramy w karty u „Kwicoła".

14 VIII, czwartek. Deszcz. Byłem w Wojciechowicach u doktora, by przyjechał do babci.

15 VIII, piątek. Jedziemy bryczką na odpust do Malic. Później bijemy się z Ziółkowskimi. (T. pijany).

16 VIII, sobota. Stawianie pszenicy, wieczorem golba. (T. pijany).

17 VIII, niedziela. Cały dzień w domu, wieczorem na zabawie w Lisowie (T. pijany).

18 VIII, poniedziałek. Zbieramy jęczmień, trochę zostało.

19 VIII, wtorek. Skończono zbierać jęczmień i zwieziono 4 wozy.

20 VIII, środa. Byłem w Opatowie babci po lekarstwa. Przyjechałem do domu. Zwiozłem 2 wozy pszenicy i dostałem bólów. Przyjechało pogotowie i stwierdzili zapalenie lewej nerki.

21 VIII, czwartek. Skończono zwozić jęczmień. (T. pijany).

22 VIII, piątek. Zabronowałem pod rzepak i obkosiłem groch.

23 VIII, sobota. Koszenie grochu. (T. pijany).

24 VIII, niedziela. Cały dzień w domu. Tatuń kosi groch. (T. pijany).

25 VIII, poniedziałek. Dzisiaj młócenie u Świątka jęczmienia.

(Inną ręką: „Pisz o wszystkim, nie wyłuszczaj tatunia. Tatuń jest tatuniem i proszę o tatuniu więcej nie pisać").

26 VIII, wtorek. Zwieziono pszenicę do sąsieka na górę oraz 16 q przemłynkowano w worki. Po południu do grochu.

27 VIII, środa. Pojechaliśmy z pszenicą do Jasic, wzięto 6 q. Po południu do grochu. (T. w lesie).

28 VIII, czwartek. U Jurka zbieram jęczmień, po południu Jurek, Janek i nas troje do grochu.

29 VIII, piątek. Koszenie grochu. (T. w lesie).

30 VIII, sobota. Byłem w Jasicach z pszenicą, 2,5 q. Po południu do grochu.

31 VIII, niedziela. Byliśmy z Jurkiem, Krzyśkiem i Stachem na rybach.

1 IX, poniedziałek. Dzisiaj skończono koszenie grochu. (T. w lesie).

2 IX, wtorek. Zacząłem kosą kosić owies.

3 IX, środa. Cały dzień wożenie jęczmienia u Jurka.

4 IX, czwartek. Rano szczepienie psów. Tatuń do Jasic. Dzisiaj skończyłem kosić owies.

5 IX, piątek. Nic szczególnego. Koszenie koniczyny, ja popiłem.

6 IX, sobota. Skombajnowano jęczmień.

7 IX, niedziela. Wieczorem w barze. (T. w lesie).

8 IX, poniedziałek. Zacząłem wozić obornik pod buraki, 5 wozów. Wieczorem na golbie.

9 IX, wtorek. Rano u Jurka zaorano 40 arów pszeniczyska i u nas koszono proso.

10 IX, środa. Złożono groch i troszeczkę omłócono. Deszcz. Ja na Łopacie na golbie.

11 IX, czwartek. Wianie owsa u Świątków, wieczorem na golbie.

12 IX, piątek. Na śliwkach u Mańka P.

13 IX, sobota. Z jęczmieniem w GS Jasice. Z Jankiem wypito 0,5 l. Wieczorem na zabawie w Adamowie.

14 IX, niedziela. Rano z Jurkiem na ryby. Złapaliśmy 6 nawet dość dużych ryb. Zjedli ze Zbyszkiem B., Mirkiem Sz., Jankiem P.

15 IX, poniedziałek. Dzisiaj pojechaliśmy z Jankiem P. kuć konie do kowala na Pieleszów. Okuto.

16 IX, wtorek. Nic szczególnego.

17 IX, środa. Zwieźliśmy 11 q pszenicy i zgrabili koniczynę.

18 IX, czwartek. Rano zrobiono 1,60 q do młyna i 2,30 q do GS Jasice. Z powrotem wziąłem mąkę.

19 IX, piątek. Omłócono groch.

20 IX, sobota. Zwiano groch i złożono proso.

21 IX, niedziela. Dzisiaj omłócono proso. Ja popiłem, byłem u Bożeny.

22 IX, poniedziałek. Skończono zwozić owies i zaczęto kopić koniczynę.

23 IX, wtorek. Skopiono koniczynę i sprasowano słomę pszenną.

24 IX, środa. Zwieziono słomę pszenną i sprasowano jęczmienną.

25 IX, czwartek. Zwożono słomę jęczmienną i owsianą.

26 IX, piątek. Zwieziono słomę jęczmienną i owsianą.

27 IX, sobota. Podsiewałem proso u Janka, wieczorem pod wesele u Lisa.

28 IX, niedziela. Obrządek, u Stępnia i w barze.

29 IX, poniedziałek. Po wyrób do Stępnia i do ziemniaków do Szpatowicza.

30 IX, wtorek. Kopanie ziemniaków u Marii P.

1 X, środa. Cały dzień deszcz.

2 X, czwartek. Po południu zbieramy ziemniaki u Łabuza.

3 X, piątek. Ziemniaki u Podpory i u Łabuza.

4 X, sobota. Bronowanie pod pszenicę. Wieczorem w domu.

5 X, niedziela. Szpatowicze wzięli świnki. Stawiarski przywiózł 1 l wódki i 0,5 l wina swojskiego. Przyjechali Stefańskie i znów 6 golb. Ja w barze i znów kilka golb.

6 X, poniedziałek. Kończenie u Łabuza ziemniaków. Po południu u Świątka. Pogotowie u mnie.

7 X, wtorek. Kopanie ziemniaków u nas, ukopano 4,5 woza.

8 X, środa. Deszcz. Wywieziono obornika 2 wozy.

9 X, czwartek. Cały dzień deszcz.

10 X, piątek. Tatuń z mamunią do Ożarowa z grochem, po południu deszcz.

11 X, sobota. Ścinanie liści, wieczorem u „Prezesa".

12 X, niedziela. Nic szczególnego.

13 X, poniedziałek. Ścinanie liści.

14 X, wtorek. Ścinanie liści.

15 X, środa. Ścinanie liści. Łabuz wziął konia.

16 X, czwartek. Wywiozłem wóz buraków od Łabuza, później sianie u stryja Stacha.

17 X, piątek. Kopanie ziemniaków u nas.

18 X, sobota. Wożenie buraków u Łabuza. Wieczorem na golbie.

19 X, niedziela. Gramy w karty u „Kwicoła" i w barze.

20 X, poniedziałek. Zwózka liści i kopanie ziemniaków.

21 X, wtorek. Zwózka liści.

22 X, środa. Zadawanie buraków u Zbyszka P., później gościna.

23 X, czwartek. Wywiozłem 2 wozy buraków, 22,70 q.

24 X, piątek. Wywiozłem 3 wozy buraków, 33,80 q.

25 X, sobota. Wywiozłem 3 wozy i Łabuz 1, razem 42 q. Wszystkiego 98,50 q. Wieczorem na zabawie w Wojciechowicach.

26 X, niedziela. Cały dzień gościmy u Łabuza i w barze.

27 X, poniedziałek. Zwózka liści.

28 X, wtorek. Zwieziono koniczynę i liście, wykopano buraki.

29 X, środa. Rano z babcią w Wojciechowicach i 2 wozy buraków.

30 X, czwartek. Wywiozłem 3 wozy buraków.

31 X, piątek. 2 wozy na parę koni. Na cmentarzu.

1 XI, sobota. Wszystkich Świętych Wypito 0,375 l spirytusu, 0,5 l czystej, 0,5 l żytniej, 2 wina.

2 XI, niedziela. Z Łabuzem jedziemy do Ostrowca z ziemniakami.

3 XI, poniedziałek. Dzisiaj spadł pierwszy śnieg. Wywiozłem 1 wóz obornika.

4 XI, wtorek. Rżniemy mak na sieczkarni.

5 XI, środa. Wywiozłem obornik od świń. Wieczorem z Jankiem wypiliśmy 0,5 l wódki.

6 XI, czwartek. Wywiozłem buraki u nas i u Jurka.

7 XI, piątek. Nic szczególnego.

8 XI, sobota. Cały dzień w domu.

9 XI, niedziela. Ja w domu, tatuń z Wieśkiem w lesie u Stefańskich.

10 XI, poniedziałek. Tatuń z grochem, ja po świadectwo u Kozła. Następnie na Łopacie.

11 XI, wtorek. Tatuń ze świniami.

12, 13 XI, środa, czwartek. Młócimy u Łabuza.

14 XI, piątek. Młocka u Staszewskiego.

15 XI, sobota. Kończymy młockę u Staszewskiego i u Łabuza. Ukopano 3 radlanki buraków, później po wóz u B.P.

16 XI, niedziela. Zwieźliśmy 3 wozy liści u Łabuza.

17 XI, poniedziałek. Zwieziono 5 wozów liści u nas i wykopano 0,30 ha buraków u Łabuza.

18 XI, wtorek. Wożenie buraków u Łabuza.

19 XI, środa. Zwieziono 5 wozów liści i wykopano 0,20 ha buraków. U Łabuza 6 wozów liści.

20 XI, czwartek. Wywieźliśmy 4 wozy buraków.

21 XI, piątek. Jeden wóz buraków u nas i wykopano 0,20 ha u Łabuza, a 1 wóz wywieziono.

22 XI, sobota. Zakończono buraki u nas i u Łabuza. Zaczęto kopać ziemniaki na dole. Wieczorem na zabawie w Wojciechowicach. Buraki były u nas nie najgorsze, z 0,75 ha ukopano 2,90 q, co dawało przeszło 4 q z 0,01 ha.

MAREK WIŚNIEWSKI
WOJCIECHOWICE
Fot. GABOR LÖRINCZY

pokolenie

W metrze — czasem te odwieczne staruszki w szalach, kaloszach. Zasypiają, wsparte na rączkach dawnych parasoli, i mówią, że nie trzeba było ich budzić, bo jadą do końca. Na kijowskim dworcu dwie. Obserwowałam, jak tutaj szły. Jedna sztywna z przerażenia, druga całkiem zgrabnie poczynająca sobie na pędzących schodach. Wtedy nie odzywały się do siebie. Po wydostaniu się z metra znowu szły z osobna, postukując laseczkami i lekceważąc ruch uliczny. Był to widok przyciągający mnie tym bardziej, że ich zaaferowana, a jednocześnie wolna od zainteresowania otoczeniem podróż odbywała się na zasadzie pewnej obojętności wzajemnej. Za stare, żeby ich sposób bycia nazwać egoizmem, chyba tylko zaabsorbowane drogą. Szły dość śmiesznie, niby w jedną stronę, a przecież każda sobie, niepotrzebnie klucząc, i mówiły do siebie nadmiernie głośno, przy czym teraz dało się zauważyć, że górą jest ta przyjezdna, troszeczeńkę mniej głucha. Było w ich wędrówce wiele z bieganiny żuków; upór i żywotność w tym samym stopniu widoczne, co niezrozumiałe.

Na dworcu wyciszyły się i spokojnie siedziały na ławce, nie wypuszczając z rąk bagażu. Przyjezdną rozpoznawało się i po tym, że miała na sobie rozmaitą odzież. Bardziej nawet zimową, niż nakazywała pogoda.

Miejscowa jeszcze chciała o coś pytać, ale nie dogadały się, a potem już straciła zainteresowanie i milczały sobie, apatycznie patrząc na podróżnych. Najprawdopodobniej

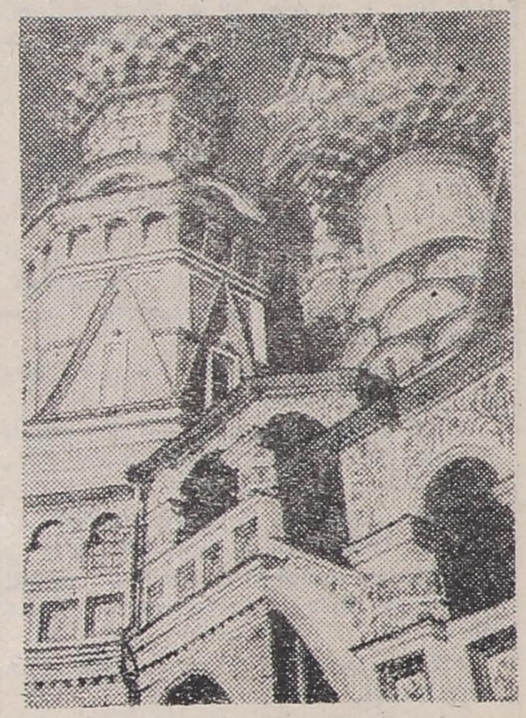

zresztą to wszystko, co mogły były mieć do uzewnętrznienia i sformowania w słowa, dawno zostało między nimi powiedziane. Wymieniły jeszcze kilka uwag — w tym o czyimś dziecku, które kaszle, a dalej nie wiem, bo odezwał się głośnik i skupiłam się, oczekując podania numeru pociągu. Przyjezdna jeszcze chciała wiedzieć, czy w mieszkaniu Barbary Sieksiejewny zdążyli już i czy filiżanka Wali, wtedy... ale miejscowa podniosła się, stanowczym gestem wskazując na walizkę. Podniosły ją obydwie, kłócąc się i wyrywając sobie nie za duży ciężar. A później wszystko już było załatwione i odbyte: formalności z pieriewodnicą, która zabrała bilet i wyraziła przyjazne zdziwienie wiekiem pasażerki, formalności między sobą — uściski i całowanie się po czołach, po policzkach. Był w tym wielki żal, ale także trochę nieuwagi, jak gdyby w gruncie rzeczy nie szło o nie na dłużej.

— To już się nie zobaczymy z tobą — powiedziała miejscowa.

— A nie przyjedziesz?

— Obiecywać nie chcę.

— No, tak — szybko i lękliwie zgodziła się podróżna.

— Może przyjedź ty?

— Nie, dziecko. Już nie dla mnie droga.

— Jeszcze najeździcie się obydwie — życzliwie wtrąciła przewodniczka.

— W naszych latach? Oho!

— Zdążysz, zdążysz.

— Wszystko może być — ugodowo powiedziała pasażerka. Pokiwała z okna rączką w skosmaconej rękawiczce.

— Nie zapomniałaś czego? Kluczy? — upewniała się miejscowa.

— No, idź, idź, nic tu nie wystoisz — powiedziała tamta szybko i ze złością.

— Klucze masz? I wszystko żebyś zjadła, co w torbie.

— Przecież nie wyrzucę.

— To dobrze — szepnęła miejscowa. Łzy ciurkiem płynęły po jej końskiej twarzy.

— Cóż wy tak — zmartwiła się pieriewodnica.

— W ich latach żegnać się, Boże mój — powiedział ktoś z boku. — Wy siostry?

— A czemu chcecie wiedzieć?

— Zamieszkałybyście razem i spokój.

— Rzeczywiście — z przekąsem powiedziała przyjezdna.

— Bo co?

— Ja nie jestem ptak na gałęzi. Mam gdzie mieszkać — srogo powiedziała staruszka. Miejseowa skinęła tylko głową. Teraz obydwie zasępiły się i obserwowały mnie bez życzliwości.

Między Polską i Moskwą do Orszy krajobraz niezrównoważony, okolica dosyć chaotyczna. Aż wreszcie, ileś kilometrów za Smoleńskiem, lasy odstępują w głąb i zaczyna się powoli rosyjskość.

Orsza, Smoleńsk — stacje przesycone historią. Wiaźma — brzydki, zielony dworzec, nawet domów nie widać, i już las delikatny, brzozowaty. Mizerna stacyjka sto z czymś kilometrów od Moskwy. Wąsko mignęła tablica, ledwo zdążyłam przeczytać: Borodino.

Krajobraz na razie powściągliwy. Za wcześnie. Ale tu już też są miejsca, gdzie się dobrze czuje nieobojętność Rosji, cierpliwego olbrzyma. W Rosji można mieć czas. Prędzej czy później czyjeś Borodino albo czyjś Stalingrad.

Odjadę stąd przed zimą i nie przyjrzę się, jak bieleje przemarznięta przestrzeń.

Bliski człowiek uważa, że jestem nimi zafascynowana. Może da się to i tak nazwać. Istotnie pociąga mnie konfrontowanie kalendarzy Rusi, frapują rodzaje i sposoby zmian w narodzie, z którego może i największy pisarz świata, nie zażegnane w świecie wątpliwości „Jeżeli Boga nie ma, to cóż ze mnie za kapitan".

Poeta Tiomlin naraził się małżonce podbierając z domowej fonoteki płytę już nieosiągalną: nagrania dzwonów w Suzdalu. Nie wierzyłam, że przywiezie, bo to było akurat tak prawdopodobne, jak liczenie na gest kolekcjonera.

Przywiózł. Mam.

Z poetą Tiomlinem szybka znajomość: przy ulicy Worowskiego na ławeczce, pod tym przytulnym parterowym domkiem, w której decyduje się o kierunkach i środkach lokomocji w podróżach po państwie, tych podróżach na siedemset i tych na siedem tysięcy kilometrów, czekałam na werdykt komisji zagranicznej Związku Pisarzy Radzieckich. A w budyneczku powiedzieli Tiomlinowi, że ta na ławce jest Polką. Wystarczający powód, żeby Tiomlin podszedł.

Leonid Tiomlin należy do Rosjan, którzy nie zaniedbują żadnej okazji na powiedzenie Polakom, jak ich cenią, jak się nimi zachwycają.

Zaraz powiedział. Jeszcze młody i nieco młodopolski, jak to mi się z rozpędu pomyślało. Jak na złość — Młoda Polska, zamiast: cyganeria.

Tiomlin zabrał mnie na Sokolniki, cudowne, ginące Sokolniki. Niegdysiejszość tuż obok stacji metra o tej nazwie. Domki na spalenie. Park jak las. Filmowa, rzeczywista Moskwa. Piszę w hotelu i nic nie poradzę na deklaratywny zbieg okoliczności, ale naprawdę akurat teraz w telewizji program o budowaniu nowych domów.

Słabe siły przychodzą w sukurs secesji. Dyskusyjny jeszcze pozostaje los znacznych połaci dziewiętnastowiecznego Kijowa, w Krakowie pod znakiem zapytania stoi los dzielnicy Podgórze i wcale, wcale nie jest powiedziane, że odpowiedź w sprawie jednej (dla mnie jednej z najśliczniejszych) naszych ulic, Piotrkowskiej, będzie brzmiała: zostaje. I żeby nie było wątpliwości: ja naprawdę zachwycam się Piotrkowską. W Moskwie polubiłam Sokolniki. Żądać kultu dla małomiejskości, która może być malownicza na rzut oka, ale nie na życie? Nie wiem, nie żądam.

W Kijowie wracałam na Starowogsalską i na Saksogalskiego. Dużo secesji. Dużo zniszczeń. Te kamienice przy całej strupieszałości ciągle są przepyszne w swoich kariatydach, atlasach, tympanonach, gorgonach, nimfach, muzach i kiściach winogradów, ale mieszkańcy z pocałowaniem ręki zamieniliby je na brzydką, funkcjonalną monotonię bloków. Unowocześnienie starości jest kosztowne i niechętnie idzie się na taki koszt, nawet przy architekturze liczącej sobie lat na tyle dużo, żeby się z nią wszyscy chcieli liczyć. Taniec dookoła secesji zacznie się najwcześniej za pół wieku i chyba o tyle za późno. Trwałość prowincji, za którą ja tęsknię, jest możliwa już tylko w literaturze.

Z Tiomlinem do restauracji „Warszawa". Nie chcieli nas wpuścić z braku miejsc, ale pokazał legitymację Związku Literatów i wpuścili. Opycham się kawiorem, podczas gdy przy sąsiednim stole niemłoda para wzięła się pod łokcie, a obydwoje na mącznej kuchni chowani, to widać, na pierogach czym się da nabitych, do soczysta unurzanych w tłuszczu. Ręce kobiety poczerwieniałe od ścisłej krempliny i biust macierzyński spod stanika prosiłby się o większą swobodę. Mężczyzna ma lepiej, bo strącił marynarkę i rozluźnił pasek. Objęli się; ona łaskocze mu policzek pierścionkowatą ondulacją, dobrze im, przytulili się, klepią się po ramionach. Pogodnie błyszczą na tęgich palcach szerokie obrączki. Żadnej tam erotyki, zwykła małżeńska serdeczność. Kobieta wybucha zaraźliwym śmiechem. Z odrzuconą głową, z zębami po dziąsła odsłoniętymi, długo cieszy się,

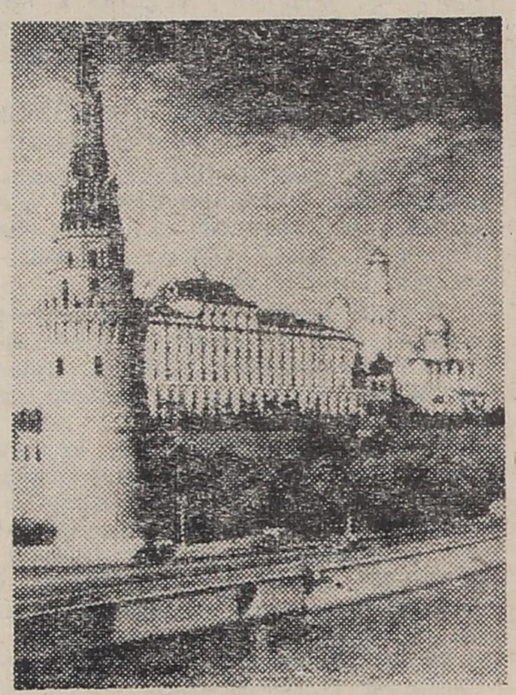

tak na niby odpycha swojego. Na stole ciasno od półmisków, bez przekonania kłują widelcami obfitości naniesione przez surową kelnerkę. Przy toastach starannie postukują szkłem o szkło. Potem biorą się do śpiewu. Zaczyna kobieta, jasno i doniośle, ze swobodą, z naturalnością chłopki ośmielonej wódką. Nikt się jej nie dziwi, przecież to restauracja bez orkiestry, więc śpiewaj kobietko, ile chcesz, wesel się albo ulżyj sercu. W Rosji zawsze śpiew chodził za człowiekiem.

A przed tą wizytą oglądałam impresjonistów. Daleko, daleko od rozpalonych gauginowskich światów poprowadził mnie poeta Tiomlin.

Kreml: ileż Rosji pośrodku metropolii. Plac Czerwony i co godzinę smutek kurantów. Wieczny tłum pod mauzoleum. Ci ludzie z prowincji — to widać, że stamtąd — bardzo orderowi. Zawsze świeże kwiaty na czerwonym granicie. A pod zieloną kopułą z czerwonym sztandarem decyzje na skalę świata. Bo jak się zastanowić, nie ma innych przy państwowości na jedną szóstą ziemskiej kuli.

Plac Czerwony z oszałamiającą cerkwią Błażennego. To jest ta cerkiew, o której wspomina w swoim szkicu „Artysta na dworze" Andrzej Osęka: „Na różny sposób okazywali władcy jak cenią swych artystów. Istnieje legenda, że Iwan Groźny kazał oślepić budowniczych soboru Pokrowskiego, znanego jako sobór Wasyla Błażennego, gdy na jego pytanie, czy potrafią zbudować jeszcze jeden tak piękny sobór nieostrożnie odpowiedzieli twierdząco. W opowieści tej kładzie się zwykle nacisk nie na srogość cara, lecz na okoliczność, że sobór Wasyla Błażennego jest dziełem niepowtarzalnym".

Dookoła Kremla Moskwa płoszczadi, pieriewozów, pierieułków. Secesja. W najnowocześniejszym punkcie miasta przy Prospekcie Kalinina (przestrzeń, wysokości, szkło — tak zwany Nowy Arbat; nazwa umówiona przez mieszkańców Moskwy, w spisie ulic „Nowy" nie istnieje), naprzeciw dwu ruchliwych stacji metra, maluśkie, bielusieńkie wczoraj: cerkiewka Szymona Słupnika. Na rogu Prospektu, przy Worowskiego, pod piątym, okna byłej cerkiewki małe, głęboko wpięte w mur, żarzą się jak cytrynowe kocie oczy. Znowu jedna z tych uporczywych pamiątek, jeden z odrealnionych przerywników w mieście, silącym się na wyrównaną nowoczesność.

Słaby, ale bezustanny, nie do wygaszenia, zapach murów cerkiewnych, jakby ściany nasiąkły miodem i goryczką wszystkich świec, które się tu spaliły przez stulecia. I chłód, ta wiekuista zima wszystkich świątyń. Gospodarz opowiada, że robił starania o przebudowę budynku (jakież to warunki dla instytucji w cerkiewnej kancelarii), ale nie pozwolili.

— Zabytek, zabytek, a my się mordujemy — mówi wnuk powstańca. Tak jest, utrzymał dokumenty powstańcze z 1863. Chciał już zdać do muzeum, nie wiedział, czy w Rosji zdać, czy też może w Polsce. Nu, poka — trzyma.

W cerkwi Słupnika miłośnicy przyrody. Artyści wolnej chwili. Kukurydziany liść, lipowy kwiat, dosyć na obraz. Zatrzymałam się przy „Zachodzie słońca". Barwy z mgiełką, wydelikacone. Czym malowany ten zachód? Niczym. Zwykła, z różnych drzew wzięta, kora. Dobry dobór odcieni. Portret Łajki wyklejony z puchu topoli. Krajobrazy z liści. Liście zeschłe, huba, powalone pnie, konary roztrzaskane burzą, szyszki, kora, mech, nasiona, z tego plastyka i rzeźba.

— Bierze się z lasu co martwe, my nie niszczymy natury — mówi wnuk powstańca.

Umielec, złota rączka. Lubitiel; wyższe zaszeregowanie. Lubitiel, poza zręcznością, wykazuje pasję.

— Jak pani będzie kiedy w Wołogdzie, warto zajechać do Nikołaja Nikołaicza. To lubitiel — mówi wnuk powstańca.

Nikołaicz, wbrew regule, robi kwiaty. Przeważnie przy kwiatach grzebią się kobiety. Mężczyźni dłubią w drewnie. Na wystawę u Słupnika Dubiński przyniósł tańczącego koguta, Łukaszewicz — głowy w wieńcach ogromnych włosów. Ciekawe głowy. Czy ten Łukasz wie o Malczewskim.

Tworzenie, które potrafi zająć lata. „Cztery pory roku" — dziewięć lat pracy leśnika spod Wołogdy. Trawa z łyka. Jagody z parafiny. Kwiaty z batystu, papieru i krochmalu z klejem.

— Jak to przyjechało do nas na wystawę, była zima i ludzie pytali się, skąd my takie kwiaty piękne w zimie sprowadzamy. Mówiło się im, że sztuczne, nie chcieli nam wierzyć. Niektórzy aż wąchali.

— Leśniczy zabrał „Cztery pory?"

— Nikołaj Nikołaicz Koczeń? Nie. Sprzedał do Suzdala. Półtora tysiąca rubli wziął od państwa; nie wiem, czy wypada mówić o tym...

— Wypada. U nas także biorą.

Tak? To może chcę wiedzieć, że amator Uszanow, lat siedemdziesiąt, układa ze słomy cerkiewki, które nie istnieją.

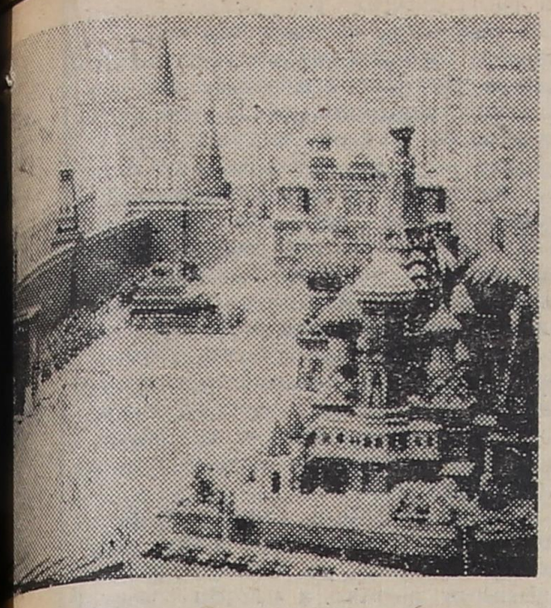

— Bywsze cerkwuszki, znajetie, dielajet.

— Podług ilustracji?

— A nie. Zapamiętał.

Natomiast ja zgubiłam kartkę z jego polskim nazwiskiem. W tej cerkiewce czemuś przypomniał mi się Kiszyniów i tamtejsze dwa kładbiszcza, cmentarz przy Azowskiej, nazywany polskim, i ormiański przy Armeńskiej, w górze nad uliczką Iskry, przewlekłą jak wszystkie w Kiszyniowie. Tak naprawdę to Polacy leżą częściej na ormiańskim. Inne to cmentarze niż ukraińskie, rosyjskie, jakby inne nieco prawosławie, z Ukrzyżowanymi zamkniętymi w oszklonych gablotkach na łodyżkach z drzewa. Groby w niebiesko malowanych parkanikach z żelaznych prętów, Chrystusy pościerane przez czas; o ludziach dużo na tabliczkach.

Na ormiańskim cerkiewka aż domowa, cała w chodnikach i skromnych dywanach. Na ormiańskim kobieta mówiąca z ukraińska, bo wdowa po Kozaku, a sama z rostowskiej obłasti (chyba jeszcze z guberni?), tak spokojnie i tak po domowemu obchodząca się z tym gospodarstwem. Odmyka drzwi w parkanikach, jeśli do otwarcia, strąca miotłą kurz, jeśli miałby zbrudzić. Mówi, że od razu mnie zauważyła i przyglądała się, jak szukam grobów starych. Ona to też pomyślała, że ja książki piszę, bo normalni ludzie nie pokazują po sobie tyle ciekawości. Zajęła się mną, pokazuje „Cwietnicu" z obtłuczoną głową — siedzącą postać przekupki, która żyła z kwiatów i w soboty obdarzała biednych. Na drodze do „Cwietnicy" nowszy rozdział — młode groby, udekorowane granitem i fotografiami: popiersia naturalnej wielkości.

Wdowa jest duża, siwa i całkiem u siebie. Pewnie przeszła swoje, zanim tu utknęła, ale o tym nie mówi. Jest z tych, których życie już nie zaskakuje. Prowadzi mnie, spokojna, taka zwykła, taka nieomylna, i widzę, gdzie „spoczywają zwłoki ś.p. Justyny Wodzickiej. Żyła lat 85. Zmarła 15-go czerwca 1907", a gdzie „Maryi z Wodzickich Janowej Kosko: Żyła lat 52. Zmarła 29-go października 1911 r. Pokój ich duszom".

Między Bołtjanami, Kuzniecowymi, Afanasjenkami, Szpilbertami, Gwozdynskimi, niedaleko miejsca, w którym leży Fiedor Michaiłycz Browko, i gdzie napisano z błędem „Fie voia Ta!" Angełowi Wsiewołodowi Georgiewiczowi i Prevtulowi Harlampowi („Melegonaseut 10 Feb. 1862, decedat 5 Decemb. 1903"), gdzie pomnik „Na pamiątkę od matki Kornetowi 23 Pułku Dragonów — żył 20 lat", to nazwisko: „Olga Doliwo-Dobrowolskaja. Rod. 28 oktiabria 1909, skoncz. 28 marca 1920".

„Skończałas", skończyła się. Jakie to w naszej fonetyce dosadne i bezlitosne rozumienie śmierci.

Doliwo-Dobrowolska. W moim kraju Doliwa znaczyło herb rodowy Dobrowolskich. W mojej osobistej rzeczywistości nie ma to znaczenia, ale Dobrowolska herbu Doliwa była z domu matka mojej matki.

Mogłam poprosić kobietę cmentarną, aby czasem uwzględniła w obchodzie i tę klatkę. Nie zrobiłam tego, ponieważ życzenie wydało mi się niestosowne w zaistniałej między nami sytuacji. Tym bardziej nie odważyłam się dać jej pieniędzy — dobrze wiemy kiedy można opłacić, a kiedy obrazić człowieka, ale i prośba nie poparta gotówką coś by zepsuła między nami, sprowadzając ładną, ulotną życzliwość do małej interesowności.

Patrzyłam z zainteresowaniem jak porusza się po szczególnym swoim gospodarstwie. Dla mnie szczególnym, bo stara była tutaj całkowicie u siebie, sposobem starannym, ale bez wzruszenia. Czuło się, że dba o cmentarz, jak dbałaby o wszystko powierzone. Jej już umarli nie peszyli, chociaż — w przeciwieństwie do tych rozgaworzonych drobizn pod cerkwią — nie wydała mi się obojętniejąca na świat żywy. Przeciwnie, pod stateczną — jaka przystoi starszej wdowie — konwencją rezygnacji domyślałam się w niej niemałej jeszcze siły. I na-

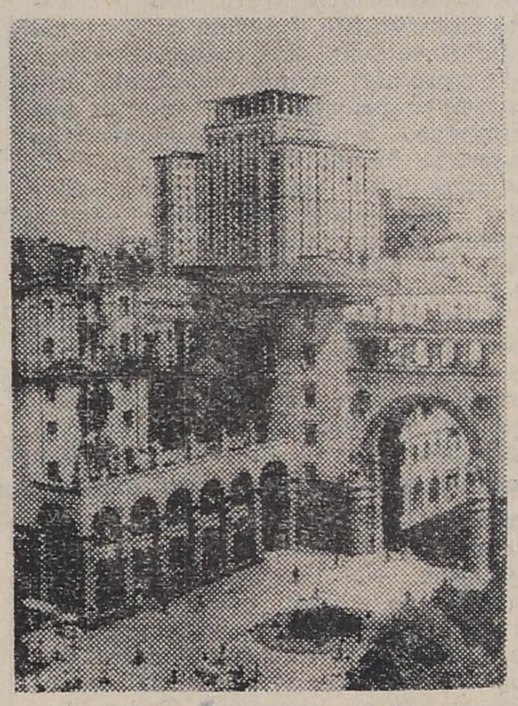

wet pozazdrościłam kobiecie naturalności w obcowaniu z koniecznym.

Maszerujemy na skróty, z wysiłkiem staram się nie deptać grobów; ona jest mniej delikatna, przy czym absolutnie nie czuje się w tym lekceważenia. Ona tu u siebie, więc idzie jakby godniej, i wparta kolanami w jeden grób, rozgarnia trawę na drugim, żeby znaleźć coś, co jej zdaje się potrzebne dla mnie. Zaczynam być zmęczona, niełatwy dzień daje znać o sobie.

— Już nie bardzo mam czas — odzywam się nieśmiało.

— Ja też nie mam — uspokajała mnie i prowadzi dalej.

Na cmentarzu ormiańskim w mieście Kiszyniowie, wśród martwych dawno wieńców za szkłem w blaszanych wannach i w altankach z siatek, ślady grobów po osobach, które się nazywały Jarockaja i Dubrowskaja, i Mazurek. Bywają cmentarze bardziej opisowe, a tu wiemy że „Zofia Lempicka zmarła 1-go Grudnia 1894 r." Tyle, i słowa więcej. Czemu nie żąda się modlitwy za nią? Z nieuwagi? Bo już Maria Drohomirecka, która „w tym grobie leży rodziła się w 1779 roku. Umarła 1852 roku. Żyła 73 liata. Przechodzących Prosi o Zdrowienie". Ale moja towarzyszka woli inny grób, na którym tekst rosyjski z polskim interwałem. Czyta:

„Miłaja mamina Marusia!
Ciebie już nie ma
i ja zostałam
Tobie za grobem żyzń
Pokoj sie z mirem dorohaja
Toboj odnoj ja dorożyła
Ja czaszu horyczy ispiła
I w slozach wsie serce u mienia".

Prowadzi przez przedwieczorny, przyczajony, trochę niczyj cmentarz. Chyba jednak wracamy, bo znowu ten lejtnant w pozie salonowej. I moja Doliwo-Dobrowolska. I grób nauczycielki, który kobięta chętnie sprząta, ale nie powie mi, dlaczego chętnie, a tamta zmarła w 1902.

Przyklękła, czyta dla mnie z grobów. „My dumali czto ti prostichniesz sławy i my tiebia zasypiem łaurami cwietami a tiepier my zasypiajem tiebie ziemlom nasz dorogoj". To dla korneta z jeszcze innego pułku niż 23. Kornet zmarł w 1913, urodzony w 1896. Taka właśnie kolejność informacji; nielogiczna akurat tak, jak odejście siedemnastoletniego.

Zapisuję adres kobiety cmentarnej. Aleksandra Pawłowna Protopopowa, ulica Pirogowa 18 przez 3, Kiszyniów. Po co mi on? Przecież znam siebie, nie napiszę. Nie uznaję listów.

Za pierwszym razem przyleciałam do Moskwy samolotem i w drodze z lotniska współpasażer pokazał przez szybkę wołgi.

— Tu był „Jar".

Oczywiście, nic nie zobaczyłam, wszystko tam już przeburzono, przestawiono, na liczniku zresztą mieliśmy ponad sto, więc widok na moment. Zapamiętałam, że jeszcze długo dojeżdżaliśmy do miasta, zatem w latach, kiedy nie było tej szosy znakomitej, kiedy moskiewskie rogatki nie rozpryskiwały się w przestrzenne autostrady, długo trzeba było do „Jaru" popasażerować za plecami jamszczyka, na których kołysał się zegarek, grubym rzemieniem podpasana cebula z cyferblatem na tyle dużym i starannym, by podróżny mógł sobie kontrolować czas, chyba akurat najmniej interesujący go w tej drodze. „Jamszczik, nie spieszi łoszadiej..."

O „Jarze" wiedział Misza Getman, emerytowany pułkownik, Ukrainiec, który nie poczuwa się do takich paranteli, ale przypuszcza, że na to dumne nazwisko historia jakoś tam zapracowała. Może z hetmańskiej wsi któryś przodek uciekł, może służył Kozak pod hetmanem albo burzył się przeciw hetmanowi? Z długiej polsko-ukraińskiej przeszłości każda wersja do wzięcia.

Skoro Misza pokazał cień przeszłości, musi się już znać na polskich gustach. Przepłynęło to koło mnie w latach, kiedy jeszcze nie rozpaliła się w republikańskich miastach moda na sentymentalizowanie w stylu retro. Bodajże dopiero zaczynało się lubić Okudżawę, a i to z ostrożna. No, a teraz po GUM-ach polowania na starinnyje walcy, na „sopki Mandżurii" po prywatkach grzmiące stereofonicznie. Nie do dostania Żanny Biczewskiej dawne pieśni kozackie. Szkoda, bo byłoby dla nich dobre miejsce w domu, w którym ktoś — jak ja — tyle razy wracał do „Cichego Donu".

Tak, znowu modny Leszczenko. I jeszcze ta ballada, w której każdego wieczoru selenonauci rozpalają na księżycu ogromne ognie, żeby ludziom na ziemi było jaśniej. I człowiek (kosmita?) oponujący: zgaście, tam kochankowie się całują. Ich mogą zobaczyć, zostawcie ich w spokoju.

Na każdym kroku sprzedaż losów na loterię. Znów jak u Dolskiego „Ludi stojali w ogromnoj oczeredi... w oczeredi za szczastiem..." Od Uralu po Kiszyniów każdy chciałby kupić szczęście.

ANNA STROŃSKA
Fot. Archiwum

spięcia

Uwaga! Pilnie poszukuje się właściciela ponad trzytonowej kupy drobnego węgla i miału, pozostawionej bez opieki obok bocznicy kolejowej w Łomży. Cechy szczególne poszukiwanego: lekkomyślność, lenistwo, niegospodarność.

★

Dobre pomysły leżą na ulicy — mówi dziennikarskie porzekadło, ale my dobrodusznie użyczymy go Zakładowi Gospodarczemu WZSR-u w Kolnie, który już od paru lat próbuje gdzieś ustawić pięć domków kempingowych, zakupionych z troski o wypoczynek 400-osobowej załogi. Czas skrócić cierpienia kierownictwa Zakładu i powiedzieć jasno: wiemy, że serce nie sługa, ale trzeba tym razem dać szansę rozsądkowi i — zamiast w Orzyszu — domki ustawić po prostu w Koźle! Załoga, nie znająca bolesnego dylematu swoich władz, z pewnością się ucieszy.

★

Mieszkańcy domów przy ulicy Rządowej w Łomży nie życzą sobie rozbijania młotem krawężników chodnikowych. Myliłby się ten, kto by sądził, że chodzi im jedynie o przykre efekty akustyczne tych poczynań.

★

Na jednego lokatora bursy szkolnej przypada miesięcznie 60—70 dekagramów mięsa, podczas gdy młodzieży korzystającej z kuchni domowej przyznano 4,5 kilogramy tego siłopędnego surowca. Zaniepokojonym kierownikom internatów władze miejskie polecają kluski. Pewnie opierają się na założeniu, że utuczona młodzież jest ociężała i nie przyjdą jej do głowy żadne ekstrawaganckie żądania, np. stadionów, basenów, boisk, bibliotek, teatrów, estrad itd.

★

Podobno mieszkańcy Kolna czytają tylko taką prasę, w której znajdują coś o sobie. No, cóż, kto prosi, ten doprosi. Przeto niniejszym donosimy, że historia tego szacownego grodu — ginie. Może nie dosłownie; póki co — tylko na planszy umieszczonej przy placu Wolności. Kultywujcie dokonania swoich przodków, kolnianie, bo i Waszym nazwiskom oraz czynom przyszłe pokolenia pozwolą spłowieć!

✸

Od listopada ubiegłego roku przy ul. Armii Czerwonej 53 zieje pustkami lokal nr 61. Nie dosłownie jednak; brak zainteresowania nim ze strony władz miejskich oraz Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej wykorzystały „niebożęta", teraz więc rojno tam jak w ulu. Może więc — starym zwyczajem, wykorzystywanym w przypadkach bezradności władz wobec dotkliwych problemów — założyć przy Urzędzie Miejskim lub WPGKiM-ie specjalną komórkę ds. pustostanów, w myśl zasady: im więcej instytucji opiekuńczych, tym mniejsza wydaje się sprawa?

✸

Inkasent elektrowni grozi mieszkańcom Rutek odcięciem światła, bo nie lubi, gdy mu zaglądają w rubryczki i podejrzewają „niedokładności" w naliczaniu opłat. Póki jednak otrzyma pełnomocnictwa samodzielnego decydenta w sprawie odcinania światła — hojnie rozdziela mięsiste epitety. Władza demoralizuje, lecz jej brak niesie głęboką frustrację. Ludzie, dajcie rzeczonemu inkasentowi choćby prowizoryczny przewód i licznik! Niech odcina, zanim płatnicy drzwiami odetną mu wejście do swoich domów.

kompromis

O Polsce w ostatnich tygodniach pisano znowu dużo, i to w nieoczekiwanych nawet kontekstach. Właściwie każda sprawa dotycząca świata w całości jest rozważana obecnie także w przewidywaniu skutków, jakie mieć może rozwój wydarzeń w naszym kraju. Nie zawsze pisze się o nas życzliwie. Wielu, na przykład, komentatorów zachodnich wyraża niepokój niezdolnością czy też niechęcią Polaków do przyjmowania rozwiązań kompromisowych.

Mięsa na święta poszukiwałem razem z panem Jurkiem. Pan Jurek to dość osobliwy stwór, który z głębin nauki napór zdarzeń losowych wyniósł wprost na pustynię półek sklepowych. Od kiedy żona jego została umieszczona w szpitalu — przylgnął do mnie, ufny w moją znajomość geografii sklepów w dzielnicy. Za moją też namową nie zarejestrował dotąd kartek; postanowiliśmy zrobić to dopiero w sklepie, w którym byłyby poszukiwane przez nas gatunki mięsa. Codziennie wychodziliśmy z nową nadzieją, że może wreszcie nam się poszczęści; niestety, bez rezultatu. Korzyści jednak, jakie z tych wspólnych wędrówek wynosiłem, nie były w ogóle przeliczalne na mięso. Oderwany od swojej działalności naukowej — pan Jurek nieustannie o niej opowiadał. Zatem każda wyprawa po mięso była w ten sposób dla mnie równoważna przeczytaniu przynajmniej paru artykułów naukowych. Często więc myślałem, że te wspólne poszukiwania stanowiły dla mnie całkiem znośny kompromis z życiem. Ale nie mówiłem tego głośno, ponieważ pan Jurek jest przeciwnikiem wszelkich form kompromisu.

Mimo obopólnych wysiłków problem kompromisu pojawiał się niekiedy jako temat w naszych rozmowach. W sklepie naprzeciwko mieli coś przywieźć; ustawiliśmy się zatem w kolejce dużo wcześniej i tak oto staliśmy się uczestnikami ogólnej dyskusji nad wynikami ostatniego strajku ostrzegawczego. Zdania były wyraźnie podzielone. Pan Jurek od razu wzmocnił pozycje najbardziej nieprzejednanych. Mieli oni za złe, jak zrozumiałem, KKP „Solidarności", że tak łatwo wycofała się w rokowaniach z wielu swoich żądań. W ich mniemaniu — rezygnacja choćby z jednego punktu równała się zupełnej kapitulacji. Zdecydowanie zaoponowałem i poparło mnie w tym parę osób.

Żadne rokowania nie są możliwe, jeżeli każda ze stron nie przejawia gotowości do ustępstw. Wartość osiągniętego wyniku można mierzyć tylko wagą spraw, jakie w nim były pomyślnie załatwione. W tym przypadku usunięta została bezpośrednia przyczyna strajku. Istnieją dostateczne podstawy, by wierzyć w powodzenie dalszych rokowań w sprawach może ważniejszych nawet, takich jednak, które nie mogą być od ręki rozwiązane. Rząd wykazał dobrą wolę, „Solidarność" zademonstrowała swoją siłę — dość, aby z nadzieją oczekiwać rozstrzygnięć w przyszłości. Wszyscy natomiast uniknęliśmy najgorszego, co mogłoby się w następstwie strajku powszechnego zdarzyć, gdyby sytuacja wymknęła się spod czyjejkolwiek kontroli. A w ogóle — deklarowałem — zawsze byłem przekonany o wartości moralnej rozwiązań kompromisowych.

Na takie odezwanie się pan Jurek zareagował gniewnie, i aż dziw, że zasypał mnie jedynie słowami. „Pan nawet nie wie, co to jest kompromis! — krzyczał prawie. — Wytłumaczę panu. Chłopiec namawiał dziewczynkę, żeby zdjęła majteczki. Ta się wzbraniała. Chodź — powiedział jej — pójdziemy na kompromis: zdejmiesz tylko z jednej nogi."

Porównania są nieporównanie skuteczniejsze jako argumenty niż abstrakcyjne rozumowania. Wystąpienie pana Jurka wyraźnie większości słuchaczy trafiło do przekonania, wyrażało bowiem także i ich nurtujące lęki. Nie rozumieli słowa „kompromis" i nie wiedzieli, czy można naprawdę łączyć z nim pozytywne oceny. Zadecydowała wszakże przede wszystkim, ukształtowana przez lata, nieufność do władzy. Stąd pragnienie gry z władzą naraz o wszystko. Nawet gdy się wie, że wskutek przegranej można też wszystko utracić.

Stojący z tyłu grubas, który zdawał się wcale nas nie słuchać, gdyż z zamkniętymi oczami wystawiał krwistą twarz do słabego miejskiego słońca, rzucił niespodzianie pod adresem pana Jurka: „A pan sam co robi? Mógłby pan przecież oglądać telewizję, zamiast wystawać w kolejce". To wywarło wrażenie, mimo że pan Jurek zręcznie cios odparował argumentem, iż walczy w ten sposób o rzeczy w życiu najważniejsze — o przetrwanie, z czym nie może być w żadnym przypadku porównywane oglądanie telewizji. Tak samo o sprawy najważniejsze szło w tym, co było tematem naszej rozmowy. Bez wątpliwości jednak odezwanie się grubasa było celne, bo wszyscy zaczęli się zastanawiać nad istotą kompromisu. Zanim jeszcze przyjechał samochód z mięsem — przynajmniej w tej kwestii pojawiła się między nami nić porozumienia.

Jest to problem prosty, w teorii już dawno wyjaśniony. Toteż uczestnicy dyskusji, w której i ja głos zabrałem niejako z urzędu (nawyki zawodu nauczyciela), niewiele powiedzieć mogli więcej nad to, że kompromis ma miejsce wtedy, kiedy w konflikcie zaangażowane są jakieś doniosłe wartości, a wynik oznaczać może wyłącznie rezygnację z którejś z nich. Ocena kompromisu zależy od oceny porównawczej wartości, które w jego następstwie zostały ocalone. Gdyby pan Jurek bardziej sobie cenił oglądanie telewizji niż jedzenie mięsa, odstając swoje w kolejce — dokonałby wyboru równoznacznego przegranej. Tylko że nic z tego, co sobie wówczas powiedzieliśmy, nie wystarczyło dla rozproszenia niepokoju naszych nieprzejednanych. Czy najbardziej nawet klarowna definicja pojęcia kompromisu może zrównoważyć tragizm doświadczeń, z których wywodzi się przekonanie, że na władzy ustępstwa trzeba wymuszać siłą?

W emocji dyskusji nie zauważyliśmy wcale, jak sprzedano już polędwicę. Ogłosiłem odwrót. Pan Jurek wyszedł ze mną posłusznie, w drodze wszelako zgłosił wątpliwość, czy — zamiast polędwicy — nie powinien był kupić 800 gramów kiełbasy starowiejskiej. Byłem bliski stwierdzenia, że taki krok stanowiłby najobrzydliwszy ze wszystkich kompromisów. W porę wstrzymało mnie sumienie. Co by się bowiem stało, gdybyśmy polędwicy w ogóle przed świętami nie kupili?

STANISŁAW ZAPAŚNIK

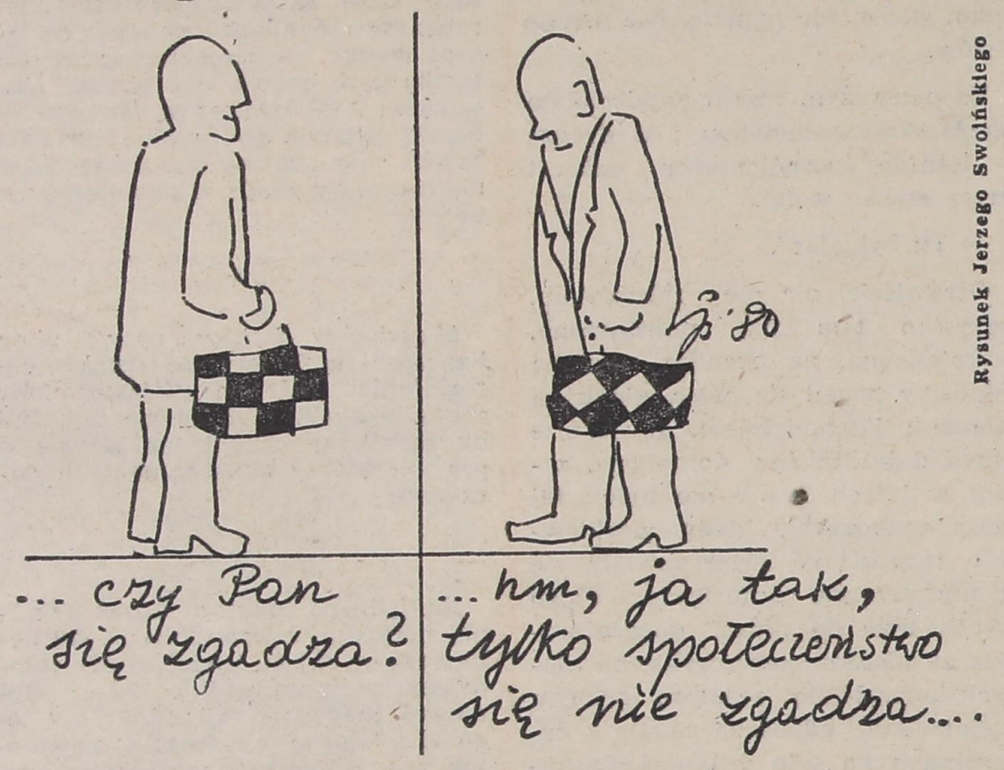

Rysunek Jerzego Swolńskiego

biegunka antykomputerowa

Współczuję władcom. Muszą odziać, wykarmić, wyuczyć alfabetu i tabliczki mnożenia, zapewnić dach nad głową wielomilionowej hałastrze. Dokonują przy tym karkołomnych wysiłków, by utrafić w gusta i guściki wybrednych konsumentów. Daremne trudy. Niewdzięcznicy nie potrafią tego docenić. A to grymaszą, że brak czarnych sznurowadeł, gdy akurat są brązowe. Jak pojawią się czarne, to kręcą nosem i wydziwiają, że nie ma brązowych.

Podziwiam władców. Za ich cierpliwość. Ja na ich miejscu już dawno straciłbym panowanie nad sobą. Nie chcą brać tego, co jest? Nie będą mieć nic! Niech wiążą buty sznurkiem albo zakręcają drutem. Konsumenta trzeba trzymać krótko, bo jak się rozbryka, rozochoci, to zażąda dwóch gatunków proszku do prania naraz, i to bez kolejki. Widziałem takiego łachmytę, jak robił awanturę kelnerowi, że nie ma czym ust wytrzeć po zjedzonym posiłku. A od czego masz, chamie jeden, rękawy? — się pytam. Papier jest potrzebny na wznioślejsze cele, jak twoja gęba. „Dzieła zebrane" poety Ryszarda Dobrowolskiego od lat czekają na wznowienie.

Już starożytni łamali sobie głowy, jakby tu ulżyć zaharowanym po uszy władcom w ich staraniach o dobro ludu. Taki jeden filozof, a mimo to mądry człowiek, nazwiskiem Platon, wymyślił państwo, którym rządzenie byłoby prawdziwą przyjemnością. W jego państwie wszystko jest z góry przewidziane: od kołyski aż po grób. Kobiety oraz dzieci zostają znacjonalizowane, czyli stają się własnością społeczną. Marks tę kwestię, niestety, zaniedbał. Każdy obywatel, po wypełnieniu swoich obowiązków, otrzymuje od państwa jadło, napitek oraz przyodziewek. Dzień jest ściśle wypełniony zajęciami, od świtu do nocy. Dzięki temu ludzie nie mają czasu myśleć o głupotach. Zresztą od myślenia są najmądrzejsi ludzie w państwie, czyli władcy.

W książce Platona jest to wszystko dokładnie opisane. Czy nasi władcy nie czytają książek? Może być, że nie czytają, bo i skąd mają wziąć czas na czytanie. Przecież krnąbrna tłuszcza nie daje im ani chwili wytchnienia. Za to w takich Chinach przeczytali! Mao tego. Zastosowali. I zaczęło wychodzić. Cały naród ubrano w jednakowe, szare wdzianka. Kobiety i mężczyźni byli dopuszczani do siebie po uzyskaniu zezwolenia z Ministerium Jajeczkowań i Menstruacji. Wszyscy wszystko mieli po równo. Niestety, eksperyment zepsuło czterech łobuzów. Ponoć nie odpowiadał im kolor tych wdzianek.

U nas powinno się udać. W Chinach robili to na łapu-capu. A to trzeba powolutku, stopniowo, ewolucyjnie. Na początek rejestracja bonów na cukier i mięso. Koniec z sobiepaństwem. Obsługa sklepowa nie będzie musiała przez cały boży dzień kombinować: „Ile też dzisiaj przypałęta się klientów". Teraz wiadomo. Setka się zarejestrowała — setka dostanie. Jeżeli dowiozą.

Uważam, że konieczna jest pewna korekta. Ponadlimitowe przydziały mięsa i cukru dla kobiet w ciąży mogą spowodować niekontrolowaną eksplozję demograficzną. Cały plan weźmie wówczas w łeb. Należy ułożyć ścisły harmonogram zbliżeń cielesnych. Kto się wyłamie, będzie miał obcięty... przydział.

Następny krok powinien iść w kierunku uściślenia, w jakim dniu i o której godzinie jeden z drugim chce się zaopatrzyć. Później i tę dowolność należy zlikwidować. Niech kierownik sklepu, wespół z aktywem ustali listę osobobonów na roboczogodzinę.

Gdy rejestracja na cukier i mięso zda egzamin, wtedy ruszyć pełną parą. Każdy będzie musiał w urzędzie zarejestrować wszystkie swoje potrzeby na:

guziki, majtki,
skarpety, omlety,
fistaszki, kamaszki,
dziewczynki,
operetkę,
pogotowia karetkę,
kąpiele ciepłe i zimne,
prezerwatywy i napoje winne
itd., łącznie z potrzebami fizjologicznymi.

Komisja Planowania zbierze to wszystko do kupy. Skonstruuje się pulpit sterowniczy. Zaprogramuje komputery, zgodnie ze zgłoszonymi potrzebami, które się ujednolici i — wio! Cała maszyneria, kierowana przez mózg elektronowy, wyręczy goniących resztkami sił władców. Będą mogli odpocząć po tylu trudach na polowanku w Zanzibarze.

Kowalski też będzie miał nie lada wygodę. Przypuśćmy, że go przyprze... Naciska guzik domowego komputera, sprzężonego z centralą, i z otworu przy muszli wysunie się, z miłym dla ucha szelestem, odpowiednia do uprzednio zgłoszonego zapotrzebowania, porcja papieru toaletowego.

Jest tylko jeden mankament. Co będzie, jak Kowalski dostanie biegunki? No, cóż, będziemy traktować taki akt samowoli jako działanie wymierzone przeciwko kierowniczej roli i sojuszom Komputerowej Centrali. Biegunki antykomputerowej nie będziemy tolerować!

Biegunka antykomputerowa nie przejdzie!

ADAM JERZY SOCHA

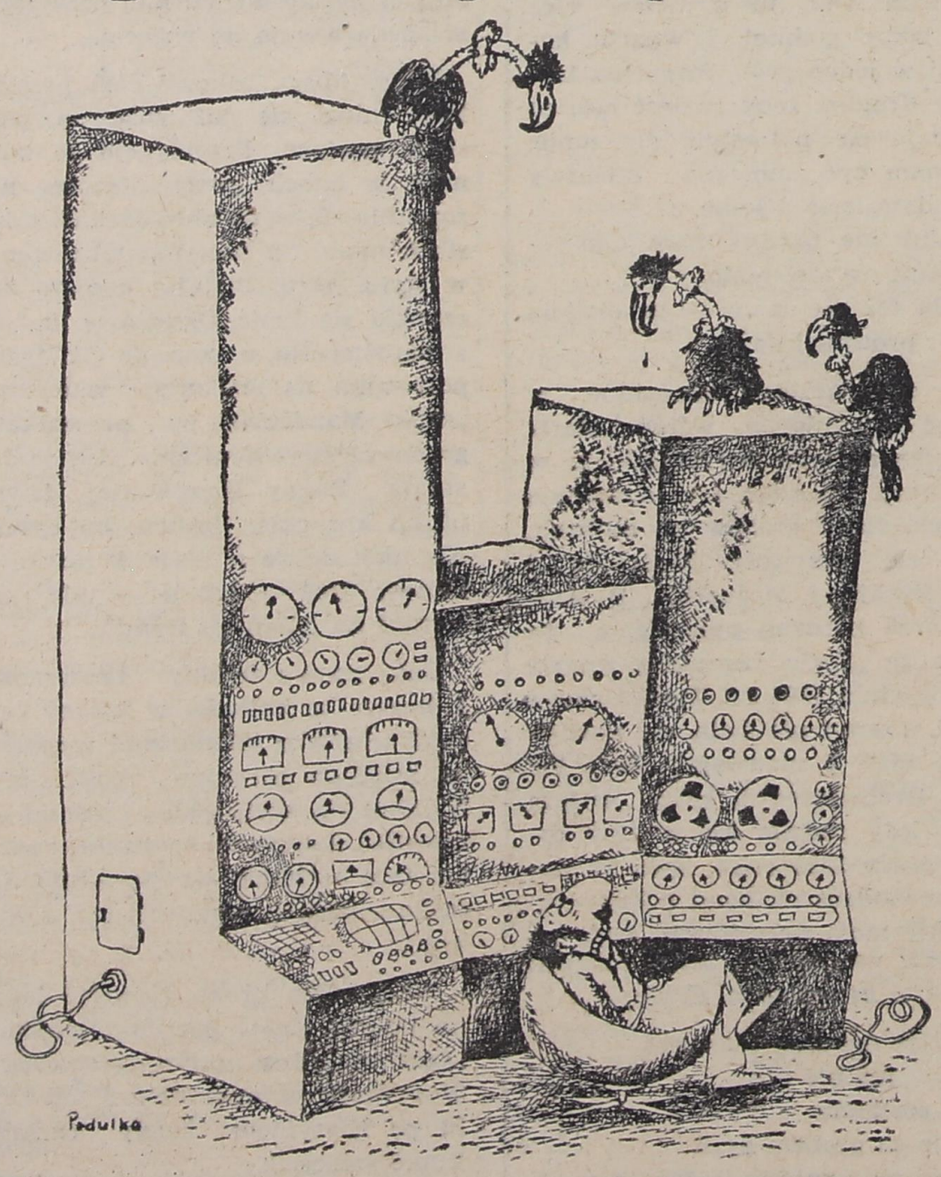

Rysunek Andrzeja Podulki

teleks

obyczaje

międzywojewódzka dziura w moście

ANDRZEJ BARTOSZ, WIESŁAW JANICKI

(Akcja reportażu rozgrywa się w małej wsi nad Biebrzą, na pograniczu województw białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego)

ROLNIK I: My to w takim miejscu jesteśmy, że akurat pośrodku. Niby styk wojewódzki. I to taki, że jak kogut zapieje, to na trzy województwa słychać.

(Szczekanie psa, gęganie gęsi. Reporterzy wchodzą do budynku szkolnego; przyjmuje ich dyrektor)

DYREKTOR: No, tak! Właściwie to sprawę należy ująć historycznie. Całe życie byliśmy na styku. No bo gdzieś tak, no, w średniowieczu już, jak pewne zapiski mówią, tu przebiegała granica między Koroną a Litwą... *(ktoś puka do drzwi)* Proszę!

WOŹNY: Przepraszam, panie dyrektorze, czy dzieci mają jeszcze czekać?

DYREKTOR: Niech jeszcze poczekają, zaraz będę miał zajęcia. A więc, jak powiedziałem, zawsze byliśmy na styku... Niech pan zamknie drzwi, panie Antoni. W czasie zaborów była tu granica pomiędzy zaborem rosyjskim i pruskim, a w czasie Księstwa Warszawskiego — również przebiegała tutaj granica, między Księstwem a Prusami. Jak ja już pamiętam, na początku ostatniej wojny po tej stronie rzeki stali nasi, a po tamtej Niemcy. Pod koniec było odwrotnie — tutaj byli Niemcy, a na tamtym brzegu nasi. I właściwie... to zawsze była ziemia niczyja!

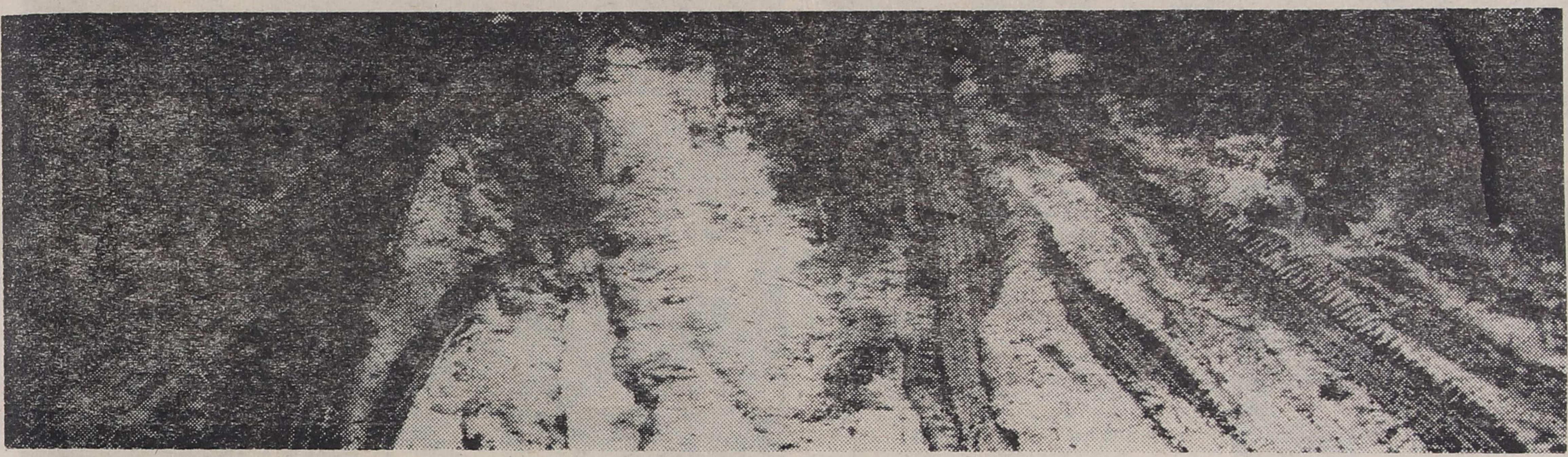

(Wiejską drogą wolno motocykl jedzie

REPORTER: Przepraszamy na chwilę! Może pan wyłączyć silnik?

MŁODZIENIEC I: Bo cooo!? *(gasi jednak motor)*

MŁODZIENIEC II: A co takiego?

REPORTER: Męczą się panowie strasznie, co?

MŁODZIENIEC I: Ano, a niech! Ano, męczę, bo, patrz pan, jak tu można...

MŁODZIENIEC II: No! Tu kałdoby, widzisz pan, jakie? Tam dalej, z tyłu, droga jest dobra, w samej wsi, jak tutaj — zła, a dalej znowu dobra. Fatalna jest na tym, o, odcinku, gdzieś ze dwa kilometry chyba będzie, na wysokości wsi, znaczy — z jednej i drugiej strony... kałdoby! Zresztą widać.

MŁODZIENIEC I: Jesienią i wiosną ciężko przejechać te dwa kilometry. O...! Widzisz pan! Przez pole ludzie z burakami jeżdżą.

MŁODZIENIEC II: Zimą to i saniami tu nie przejedziesz!

REPORTER: Jak to tak?

MŁODZIENIEC II: No, tak. Widzisz pan, tu styk województw jest. Zimą przyjdzie spychacz z jednego regionu, zepchnie śnieg do granicy, drugi spychacz przyjedzie z drugiego regionu, zepchnie śnieg do granicy, i te zwały zostają, o, tu! Na tym odcinku, dwa kilometry nie ma przejazdu po prostu. Błoto, śnieg, wsio... Granica województw, a trasa przelotowa i każdy się pcha.

REPORTER: Czyli drogę dzieli granica województw, a środek wsi...

MŁODZIENIEC II: Tak! A w środku wsi to pas bezpański, niczyj, nie ruszany. A ludzie tłuką się tą drogą, resory, koła łamią. Nikt się tym środkiem nie interesuje. Tylko tak czasami ktoś przyjedzie, ręką machnie i zasuwa... dobrym asfaltem do swojego województwa. To już i kląć ludzie nie mają siły.

REPORTER II: Ale wy, panowie, jak widzę, bez kasków sobie jeździcie?

MŁODZIENIEC II: A bo co? Kto tu, panie, zagląda? Milicja? Toż oni nie dojadą nawet tutaj! Do widzenia. A niech to!

(Zapala motocykl; oddala się powoli warkot silnika; reporterzy są już w wiejskiej chacie)

REPORTER: Dzień dobry! Pan tu jest sołtysem?

SOŁTYS *(sepleni)*: Nuuu, ja, a bo co. Nu, tu, jak to mówić, jesce jak byli powiaty, to ja był tym sołtysem. Ale teraz, jak nie ma powiatow, to ja i nie wiem, jak to i powiedzieć. Po mojemu...

REPORTER: Przecież tabliczka z napisem „Sołtys" jest!

SOŁTYS: Nu, jest! Nu, wsio jest!

REPORTER: To jest pan sołtysem czy nie?

SOŁTYS: Nu, nie. *(po namyśle)* Nie, na razie!

REPORTER: Ale przecież innego sołtysa tutaj nie ma.

SOŁTYS: Musi tak. Na razie ja jestem ten sołtys.

REPORTER: Dopiero teraz nic nie rozumiem.

SOŁTYS: Nu i tak. Tera powinni być jakieść zebrania czy cóś, choć raz na jaki miesiąc, a tu ni ma nic. Nigdzie mnie nie zawołajo! I ja nic nie wiem, co jest! A ja mam i pieczontke, pismo... wszystko, jak się należy, mam.

REPORTER: Czyli formalnie jest pan sołtysem?

SOŁTYS: Nu, musi co tak.

REPORTER: I nigdzie nie wołają pana?

SOŁTYS: A gdzie? Nigdzie. Żeb kto słowem spomniał! Nie, nigdzie nie zawołajo, ni do gminy, ni do województwa, nigdzie! Jak te województwa porobili, to ja nic nie wiem, nic nie wiem i... ło!

(Wnętrze innego wiejskiego mieszkania)

KOBIETA: Ano, rodzi sąsiadka. Dzwonię do jednego pogotowia, a oni mówią, że to nie nasz rejon, macie tam bliżej pogotowie! No to ja dzwonię do drugiego, a tamci — też nie nasz rejon! Ja mówię: ale ta kobieta rodzi, a stamtąd nie chcą przyjechać. A oni: my też nie możemy przyjechać, i bach, odłożyli słuchawkę! W końcu trzeba było babkę wziąć, żeby poród odebrała. A wszystko dlatego, że nasza wieś leży na granicy. I tak u nas ze wszystkim. Całkiem o nas zapomnieli, a my też chyba ludzie, nie? *(kwilenie dziecka)*

(Na wiejskim podwórzu gospodarz ostrzy piłę)

REPORTERZY: Dzień dobry panu! Słyszeliśmy, że miał pan kłopoty z częściami do maszyn.

GOSPODARZ: Mówicie „części"... Ale to nie o części chodziło, tylko o całą maszynę. Konkretnie — grabiarkę. Taką do grabienia siana. I przewracać nią można, i zbijać do wałów trawę.

REPORTER: Traktor, widzę, pan ma.

GOSPODARZ: Ciągnik to ja mam już dawno. Dostałem go pięć lat temu. A już za niedługo miałem dostać tę grabiarkę właśnie. Chyba za dwa miesiące. I akurat wtedy pozmieniali u nas rejony. Ja pojechałem do swojego rejonu, tam, gdzie kupił ten ciągnik i gdzie grabiarkę miał dostać, a oni mówio, że ja już nie w ich rejonie, tego... i już nie podlega dla mnie ta grabiarka! Jedź pan do drugiego rejonu. No, zajeżdżam tam, a tamci też mówio, że to nie ten rejon! To ja sie pytam, gdzie mój rejon w końcu? Tam i tam. Znowu pojechałem. A skąd? — sie pytajo. To nie pański rejon. Wracaj pan tam, gdzie składał papiery, na pewno tam dostanie grabiarkę. Jeździł ja tak od Annasza do Kajfasza, aż zbrzydło. A tera będe sie prywatnie starał dostać. Weźmy, przykładowo, te piłe tarczowe. Przedtem tu bliziutko był sklep, kupił i mam. A teraz drugo piłe chciał kupić, to sklep faktury nie wyda, a tak znów nie będe wiózł, bo mnie milicja przydyba. Spytajo: kradzione? To co odpowiem? A sklep nie wyda faktury, bo on teraz w drugim województwie, a na inne województwa nie sprzedajo pił, i z tem trudność. No i jeszcze chleb! Tu u nas, zaraz za rzeką, piekarnia, i do naszego sklepu brali stamtąd chleb, jak tylko pamiętam. A teraz ta rzeka akurat stała się granico województwa i tamta piekarnia już nie może dla nas dawać chleba, trzeba go podobnież wozić aż ze dwadzieścia, a może trzydzieści kilometry. Jak przywiozo, to on już taki — nawet od samego wiatru — suchi. Takie poplątanie, że aj! Może jedne wódkie gdzieś musi z dobrego województwa wożo, bo tej jest pełny sklep! A sklep bliziutko, przez kładkie sie przejdzie, taki mostek. I w tym mostku jest dziura, że tam nawet chłop wpadł. Mówili, że podobnież po pijaku, ale to i trzeźwy po nocy może wpaść. Bo to nie ma komu: rejon z tamtej strony rzeki albo i z tej, nie wiadomo, most graniczny jest. Nikt nie naprawi, bo nie chco znać, których to most.

(Gospodarz ostrzy piłę, a reporterzy trafiają do remizy strażackiej)

KOMENDANT: Ja, panowie, jak najbardziej się starałem, i to do ostatka. Na przykład — o te remize: żeby to ona była, wykończona jak należy, i jak najbardziej! I tak wszystko się składało, że poszło dobrze. A ile trudności było, to wiadomo! Bo to i tego było brak, i tamtego: i wapna, i cementu, i majstrów! I wszędzie trzeba nosa wsadzić. I tu pogadać, i tu. Tu dać, tu poprosić. Na ostatku zaczęło być pasująco. Remize postawilim! Dobrze. No to naczelnik mnie tu, panie tego, ładnie wzywa i mówi, że order pan dostaniesz za swoje starania i tak dalej. Czemu by nie — myślę sobie i czekam! Spodziewam sie, że ja tego dostane ordera... Ahaaa! Dostał! Zmiana tych, panie, powiatów nastała, i już to ugasło wszystko. Order przepadł. Te papiery jest to w jednem rejonie, to w drugiem, ten nie podpisał, ten nie z tego rejonu, i tak dalej. A tu trzeba jeszcze remize dokończyć, dach. I teraz nie wiadomo, gdzie i do jakiego rejonu jechać, kto ma decydować? I dać materiały na ten dach?

(Gabinet naczelnika gminy)

REPORTER: Panie naczelniku, pan zna tę wieś?

NACZELNIK: Tak, znam, nooo... Cóż by tu można jeszcze powiedzieć o tej wsi? Nooo przede wszystkim wieś jest niskotowarowa, ma bardzo słabe gleby... Rolnicy mieszkają po terenie, drogi dojazdowe są tam bardzo słabe...

REPORTER: Zwłaszcza fragmenty dróg?

NACZELNIK: Właśnie! To można by nawet nazwać fragmenty drogi, bo to trudno nazwać drogą, niestety. O najważniejszych sprawach zapomnieli projektanci dróg!

REPORTER: Dróg?

NACZELNIK: No, raczej dróg. Skoro asfalt puścili na pograniczach wsi, a nie przez wieś, to trudno nazwać dobrym projektem. No, kłopoty mamy.

REPORTER: Czy to tylko kwestia projektów?

NACZELNIK: Ależ oczywiście! Lecz oprócz tego nie tylko kwestia projektów, co może mała aktywność społeczna wsi. Ludzie, wiecie... Na wsi ludzie nie przychylają się do tego, żeby stworzyć dobre warunki sobie i dla wsi, żeby podnieść poziom...

REPORTER: Ludzie?

NACZELNIK: No, ludzie! Raczej tak...

REPORTER: Nie podnoszą poziomu?

NACZELNIK: Nie podnoszą poziomu, bo... Ale starają się przynajmniej równać do... do tych średnich gospodarstw, do tych średnich!

REPORTER: A był pan w ogóle w tej wsi kiedyś?

NACZELNIK: No, ale... No, nie, nie byłem.

REPORTER: Ile lat jest pan naczelnikiem?

NACZELNIK: Ledwo jeden rok, a tam przecież trudno dojechać! I jeszcze po prostu okazji nie miałem, potrzeby nie było pełnej... Zresztą z tą wsią mamy kłopoty od samego początku. Miała ona należeć pod inne województwo. Wina tu może nie tylko projektantów, jak powiedziałem, co raczej wina polega na tym, że tą wieś jakby dorzucono do naszej gminy, i w tej chwili jeszcze nie jesteśmy w stanie rozejrzeć się, co jest. A tu ponosi wyłącznie winę... ponoszą winę ZOZ-y, rejony...

REPORTER: Podrejony?

NACZELNIK: Podrejony, tak!

REPORTER: Bazy?

NACZELNIK: Bazy wszelkiego typu.

REPORTER: Zarządy?

NACZELNIK: Zarządy.

REPORTER: Obwody?

NACZELNIK: Tak, obwody! Wiele ich tutaj, oni tutaj tę sprawę zawalają. Ja ze swojej strony robię wszystko, choć nie jestem w stanie. My tutaj nie wiemy, co z tym fantem zrobić! Jak ugryźć temat i problem. Jak z tego wybrnąć. No, spraw jest cała masa, masa!

REPORTER: Co najmniej kilka?

NACZELNIK: No, nie tylko kilka. Ja bym uważał, że trzeba będzie stanąć na wysokości zadania i tym wszystkim sprawom sprostać! Niestety! Sprawy nam z każdą chwilą przybywają!

(Wiejskie podwórze, szczekanie psa, gęganie gęsi)

ROLNIK I: No to i tak, tyle tego będzie. U nas takie miejsce, że akurat pośrodku. Jak kogut zapieje, to na trzy województwa słychać. Co z tego? I tak go nikt nie słyszy.

Fot. GABBOR LÖRINCZY

wysokopienny ch

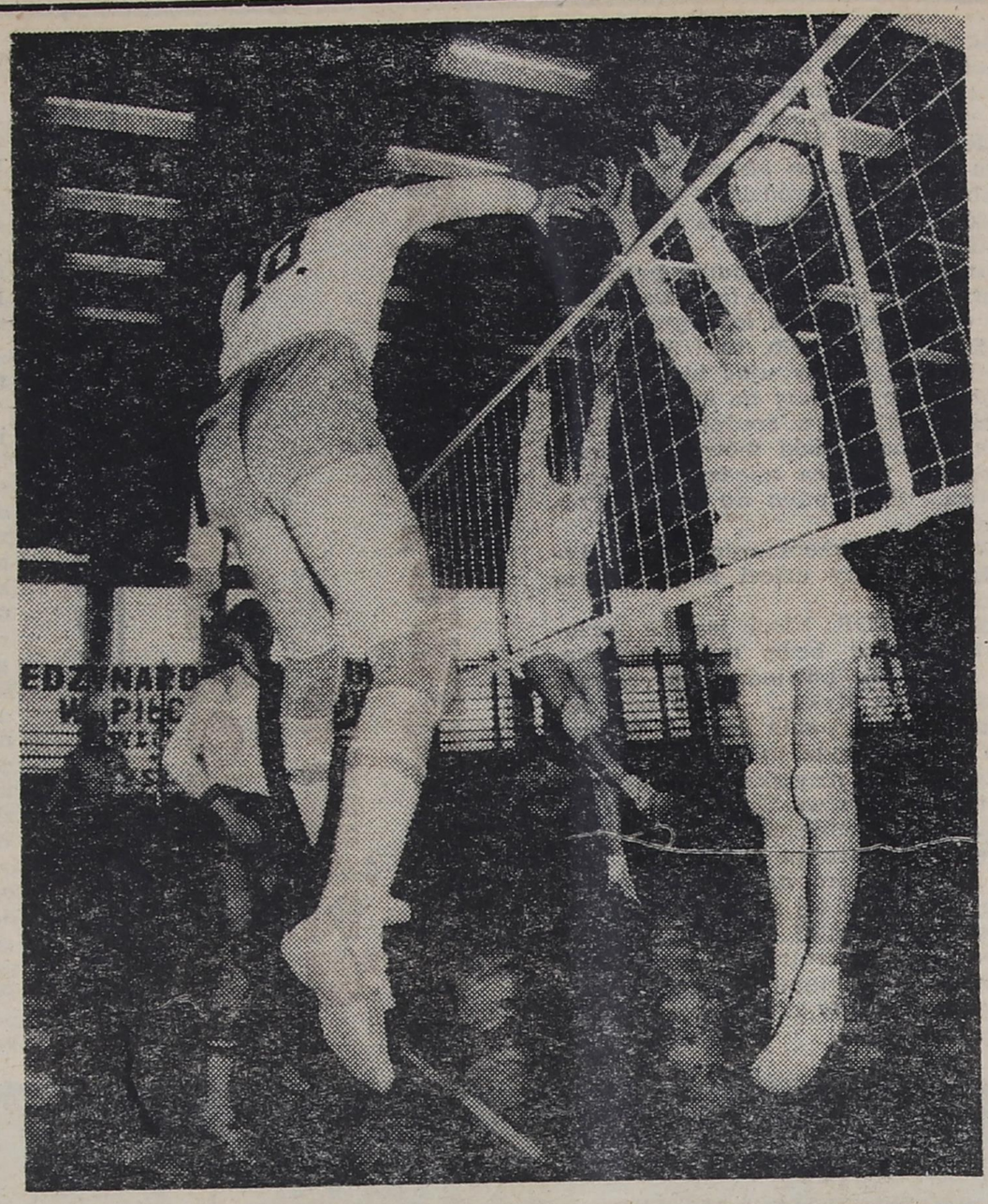

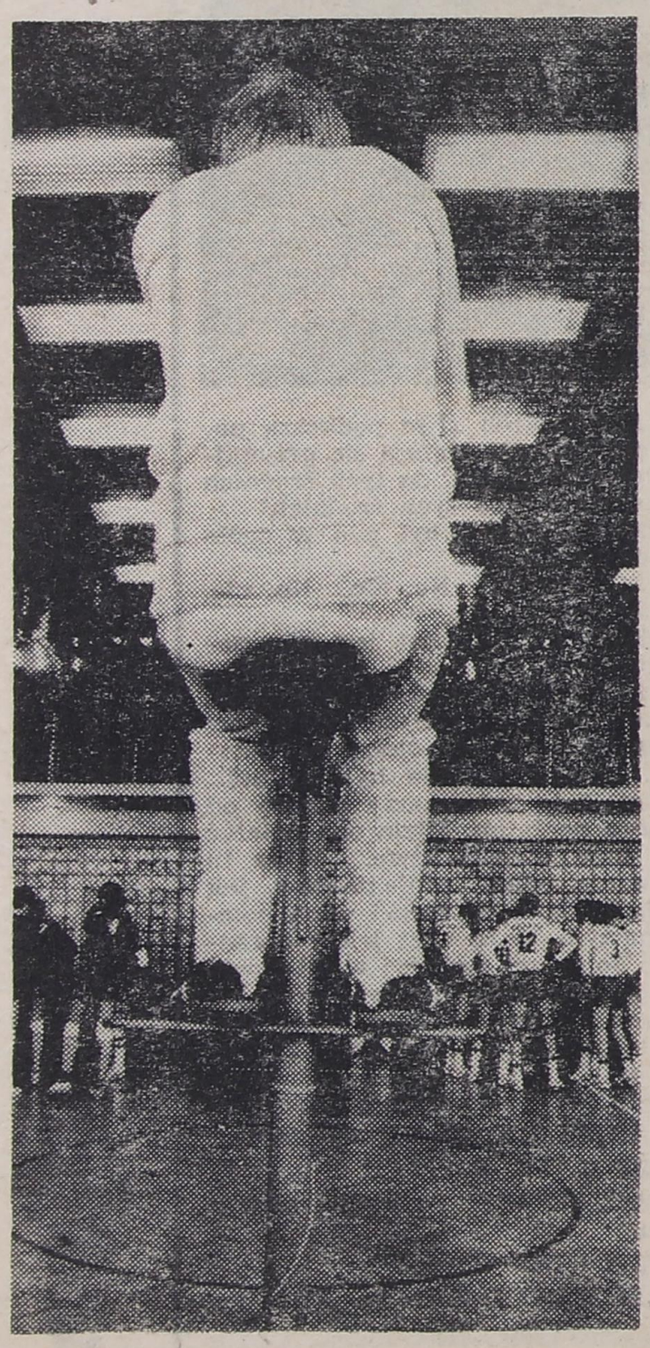

Na międzynarodowy Turniej Piłki Siatkowej zjechał do Łomży sam kwiat wysokopiennej młodzieży z Bułgarii, Węgier, Związku Radzieckiego i Polski.

Najwyższy poziom gry zaprezentowali młodzi Bułgarzy — zajęli pierwsze miejsce. Najwięcej emocji dostarczyły mecze ZSRR — Bułgaria i Polska — Bułgaria. Najdonośniej kibice dopingowali reprezentację Węgier. Najwyższym zawodnikiem turnieju był — liczący 209 centymetrów — Jewgienij Lebiediew. Najdokładniej sędziował Andrzej Żelazny, polski sędzia klasy międzynarodowej, najniepewniej zaś machali chorągiewkami miejscowi sędziowie: Stanisław Skowroński i Kazimierz Ostaszewski. Najczęściej i najgłośniej klaskał wicewojewoda łomżyński Kazimierz Cłapka (jak mi powiedział, ostatnio mało miał ku temu okazji). Najwięcej osób znających się na siatkówce siedziało pod... balkonem. Najwięcej złamanych serc pozostawił nastolatkom (i nie tylko) pewien przystojny Magyiar znad Dunaju. Na przemian najczerwieńszą i najbledszą twarz miał kelner w restauracji hotelu „Polonez" który w czasie pożegnalnej kolacji, zamiast tradycyjnego napoju, wlał do kieliszków naszych braci Węgrów... octu.

tekst i zdjęcia

Gabor Lörinczy

parada

złote czasy dla jaroszów

ZENON PIECHOCIŃSKI

Pytając o wegeteriantów możemy usłyszeć, że są to ludzie, którzy mieli szczęście trafić na dostawę towarów do sklepu ogrodniczego.

Dziś, gdy w większości domów je się to, co się „wystoi" — odpowiedź taka świadczy jednak nie tyle o poczuciu humoru, co o poczuciu rzeczywistości. Przy czym, jest oparta na potocznym i nie w pełni prawdziwym przeświadczeniu, że jarosze, czyli wegetarianie, należą po prostu do osobników, którzy nie lubią jeść mięsa. Jest to nieścisłe. Rzecz bowiem nie tylko we wkładaniu do ust, gryzieniu i połykaniu, ale w innym myśleniu o funkcji pokarmów w życiu człowieka. W myśleniu będącym funkcją całego światopoglądu. I to wcale nie z kategorii ciekawostek, a znaczącego niegdyś w kulturze duchowej i materialnej całych pokoleń. Rodakom, dla których kartki na mięso stały się w ostatnim czasie kartkami najważniejszych uprawnień obywatela — powaga tych słów może wydać się śmieszna. Śmiejmy się — na zdrowie! Daję jednak słowo, że dieta roślinna rzeczywiście dorobiła się własnej filozofii. Prezentując jej założenia zastrzegam się jednak, że nie jest mi obca świadomość, iż niektóre systemy i szkoły przetrwały tylko dzięki nadzwyczajnej indywidualności ich... założycieli.

Główną zasadą jaroszów jest żywienie się owocami ziemi w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. Tylko owoc ziemi bowiem — ich zdaniem — zawiera te wszystkie pierwiastki, jakie są niezbędne do tworzenia wyższej formy życia. W jadłospisie powinno znaleźć się to wszystko, co można zdobyć bez zabijania zwierząt, bo: *„kto krzywdę żyjącemu stworzeniu wyrządzi i nie ma w swym sercu dla niego współczucia ten jest nikczemnego urodzenia"*. Można więc spożywać zboże, ryż, buraki, ziemniaki, brukiew, mleko i jego przetwory, chociaż bardziej radykalni nawet mlekiem gardzą.

W wieku, gdy źródłem wszystkich wartości duchowych była religia, wykładająca swe prawdy w największym dziele, jakie kiedykolwiek ludzie stworzyli — Biblii, wegetarianie również znaleźli na jej kartach stosowny cytat na poparcie swych racji: *„Oto dałem wam — rzekł Pan — wszelkie ziele rodzące nasienie na ziemi i wszelkie drzewa, które same w sobie mają nasienie rodzaju swego, aby wam na pokarm były"* (Genesis I, 29). W Piśmie Świętym Starego i Nowego Testamentu, wydanym przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne w Warszawie, fragment ten brzmi: *„Potem rzekł Bóg: Oto daję wam wszelką roślinę wydającą nasienie na całej ziemi i wszelkie drzewa, których owoc ma w sobie nasienie: niech będzie dla was pokarmem"*.

Argument, że każdy człowiek posiada w uzębieniu kły, w związku z tym należy do grona mięsożernych, zbito bardzo łatwo stwierdzeniem, że zwierzęta żywiące się wyłącznie trawkami również posiadają kły. A stojące najbliżej gatunku Homo Sapiens małpy człekokształtne dysponują zębami o wiele potężniejszymi niż człowiek. A przecież szerokie, mocno osadzone kły służą im tylko do rozgryzania orzechów, a nie do gruchotania kości. Budowa przewodu pokarmowego, na którą powoływali się przeciwnicy wegetarian w XIX i XX wieku, usiłując udowodnić im głoszenie bzdur — dostarczyła argumentów drugiej stronie. Otóż, ich zdaniem, między żołądkiem małpy człekokształtnej i człowieka, nie ma żadnej różnicy. Na jej podstawie zbudowano cały, logicznie umotywowany wywód.

Gdyby ktoś miał wybierać między ubraniem nowym, a zużytym, jakie by wybrał? Mięso — zdaniem publicysty pierwszych lat XX wieku, który to pytanie postawił — to właśnie taki zużyty przyodziewek. Zwierzę używało ciała wykonując nim pewną pracę, chociażby utrzymując funkcję życia. Zanieczyściło je więc produktami przemiany materii. A kasze, ryż, jaja — zawierają budulec w stanie dziewiczym. Czym się lepiej żywić.

Że zaś do najczęściej występujących w mięsie zanieczyszczeń należy mocznik: — *„zrozumiemy i dziwić się nie będziemy, dlaczego mocne rosoły i buliony, bez jarzyn gotowane, swym zapachem mocznam przypominają. Dlatego właśnie zalecanie chorym bulionów i rosołów jest kardynalnym błędem popełnianym przez lekarzy"*.

Znany w XIX wieku higienista angielski, dr Alfred Carpenter, przedstawił na kongresie lekarzy w Londynie referat udokumentowany całymi kolumnami cyfr (nasi pradziadowie też cyframi szafowali...), a stwierdzający, że 80 do 90 procent mięsa, jakie ludzie zjadają, pochodzi od chorych zwierząt. Ten naukowy dowód natychmiast wykorzystali przeciwnicy zjadania naszych „mniejszych braci" — twierdząc, że prawda owych słów nie powinna nikogo dziwić. Zwierzęta bowiem przeznaczone „na skarmienie" nie mogą w zaspokajaniu swych potrzeb kierować się instynktami. Podlegając zaś woli człowieka — bardzo często chorują.

W tym samym czasie inni naukowcy stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że w mięsie — niezależnie od tego, czy „wyprodukowanym", czy „chodzącym dziko" — tworzą się toksyny, alkaloidy trujące, o silnym działaniu. Z danych porównawczych wysnuto wniosek, że każdego dnia człowiek zjada większą lub mniejszą ilość trucizn, podczas gdy pożywienie roślinne jest od nich całkowicie wolne.

Ile w tym stwierdzeniu nauki? Ile propagandy?

Porównajmy to, co na inne tematy, obok rozpraw o wegetorianizmie, pisała ówczesna prasa, a będziemy mieli pewien obraz zainteresowań, które pozwolą zorientować się, o co dziennikarzom wówczas chodziło: *„Jedną z największych i najciekawszych osobistości na wystawie powszechnej w Paryżu jest niewątpliwie nowy, udoskonalony fonograf Edisona"* („Tygodnik Ilustrowany — rok 1900). *„W 22 kopalniach węgla kamiennego w Królestwie Polskim wydobyto w roku 1888 141,1 milionów pudów, czyli o 20 milionów pudów więcej jak w roku poprzednim. Zatrudnionym przy tym było 149 machin parowych o sile 10.199 koni"* („Czas" 1892 r.) *„Żaden z licznych emancypacyjnych ruchów, nawet ten co wyswobodził niewolników, nie może być porównany w swym zasięgu do ruchu emancypacyjnego kobiet. Po prostu idzie o równouprawnienie połowy ludzkości"* („Gazeta Polska" — 1876). *„Ilość inwentarza w Królestwie Polskim według urzędowych danych jest następująca: koni 753 tysiące (w tym furmańskich 100 tysięcy), bydła rogatego 2 mln 830 tys. sztuk. Trzody chlewnej 1.100 tysięcy sztuk"*. („Kłosy" nr 1255).

— Medycyna — twierdził niejaki doktor Józef Drzewicki na łamach „Wędrowca" w 1888 r. — nie zna ani jednej choroby, która by z pożycia pokarmów roślinnych powstawała. Znane jej — medycynie — były natomiast te, jakie wywołała dieta mięsna. Do nich zaliczano — niestety nie wyjaśniono dlaczego — raka, karbunkuł, zołzy, artretyzm, choroby kiszek, żołądka, wątroby.

Już starożytni Rzymianie byli zdania, że niektóre choroby od świń pochodzą. A Mojżesz — prawodawca ludu Izraela — nie tylko zabraniał jeść, ale nawet dotykać świniny: *„mięsa świń jeść nie będziecie i ścierwu się ich nie dotkniecie"* (Deuter. XIV, 9).

Jedno z angielskich towarzystw zajmujące się propagowaniem jarstwa udowodniło, że w miarę jak ludzie jedzą coraz więcej mięsa — częściej chorują. Rozwój tych towarzystw miał pewne uzasadnienie polityczne w przypadku Anglii. Koniec dziewiętnastego wieku, to okres kolonizacji półwyspu Indyjskiego i Chin. W tych krajach niejadanie mięsa było nakazem religii powstałych w bardzo zamierzchłych czasach. Zaborca, który nie gardził pieczenią wołową ściągnął na siebie „gniew ludu", który odpowiednio wykorzystany przez przywódców stał się w wielu rejonach głównym motywem ruchu oporu. „Wyhodowanie" angielskich jaroszy i wcielenie ich do wojska mogło wytrącić powstańcom broń z ręki.

Obok sięgania do naukowych i nie naukowych argumentów, zwolennicy roślinnej diety posługują się w dyskusji zarzutem ograniczoności, twierdząc, że głównym źródłem „ganiania za udźcem baranim" jest nieświadomość, czyli po prostu nieznajmość rzeczy. Bo już obserwacja przyrody nakazuje nie zabijanie zwierząt. Znalazłem w „Wędrowcu" z 1900 roku wstrząsający dowód prawdy: *„Zwierzę drapieżne trapione głodem na widok zdobyczy ożywia się, oko jego nabiera ognia i blasku, ślina obficie do jamy ustnej napływa, ciało przybiera postać przytajoną, zwierzę napręża swoją uwagę i siły i w konwulsyjnym drżeniu wyczekuje stosownej chwili by na zdobycz się rzucić. Grają w nim instynkta"*.

Czy osobnik z gatunku Homo Sapiens odczuwa na widok wołu, sarny, konia, jakieś instynktowne pragnienie? Absolutnie! A w sklepie ogrodniczym pachną mu czerwone marchewki, pietruszki, selery, pory. W ogrodzie owocowym, patrząc na dorodne grusze, jabłka czuje napływającą do ust ślinę. *„To instynkt; do spożycia rzeczonego owocu nas zaprasza"*.

Natura „pomyślała" o tym, aby człowiek miał co jeść w zimie. Mianowicie urządziła tak, że nasiona, owoce, na czas, gdy życie na łąkach i polach zamiera — zachowują swoje własności. Nie psują się jak mięsiwo. *„Zepsute części owocu, czy jarzyny każdy odkroi, wyrzuci, a resztę zużyje. Czy można tak zrobić z mięsem?"*

Dla absolutnego pognębienia ludzi, którzy nie chcą dla własnego zdrowia, z miłości do świata, czy ze względu na nakazy właściwe wspólnocie, w której żyją — wyrzec się mięs wszelkich — Joachim Walczewski z „Tygodnika Ilustrowanego" użył w roku 1900 chwytu, rzekłbym — psychologicznego. Porównał zachowanie człowieka i zwierzęcia, dobierając obszar porównań tak, aby wypadły one dla „króla wszelkiego stworzenia" niekorzystnie: *„Zwierzęta nie chcą ani pić, ani jeść tego co jest dla nich szkodliwem. Instynktem przyrodzonym wybierają to co jest dla nich odpowiednie. Jeden człowiek ma tylko ten przywilej, że może nie słuchać głosu, jadać i pić to — co jest dla niego szkodliwe. Zwierzęta żyją w zgodzie z prawami przyrody, a człowiek nieustannie przeciwko tym prawom wykracza"*.

Zwolennicy „reformy diety odżywiania się" sięgają też do argumentów estetycznych. Ich zdaniem, dopóki *„mięsiwo i ser szpetny ludzie będą nad owoce ziemi przekładali"*, dopóki dym „tytuniowy" milszy im będzie nad wonne powietrze łąk, a instynkt naturalny nie odzyska praw swoich, niedostępne dla nich pozostaną subtelności przyrody. Nigdy nie pojmą języka, jakim natura do nich mówi. To wszystko, co wzniosłe jest bowiem za subtelne dla tych, którzy tarzają się w grubej materii, nic poza nią nie będąc w stanie dostrzec. Człowiek dysponujący nauką powinien brzydzić się zabijaniem. Bo gdyby natura stworzyła go do zabijania: *„nasze matki i siostry z przyjemnością chwytały by za noże i zarzynały kury, lub gołąbkowi ptaszynie główenkę ukręciły"*.

Również inne argumenty przeciwko zabijaniu zwierzyny świadczą, że propagatorzy jarstwa znali psychologię i historię... ludzkości. Specjalnie wyłapywali to, co mogło służyć walce o słuszną sprawę. Zwracają oni uwagę na fakt, że po to, aby móc zabijać trzeba się tego od maleńkości uczyć. Człowiek może oswoić się z każdym okrucieństwem, z każdą tragedią. Uwzględniając ten aspekt prawodawstwo angielskie zabrania na przykład rzeźnikom zasiadania na ławie przysięgłych w sprawach o zabójstwo.

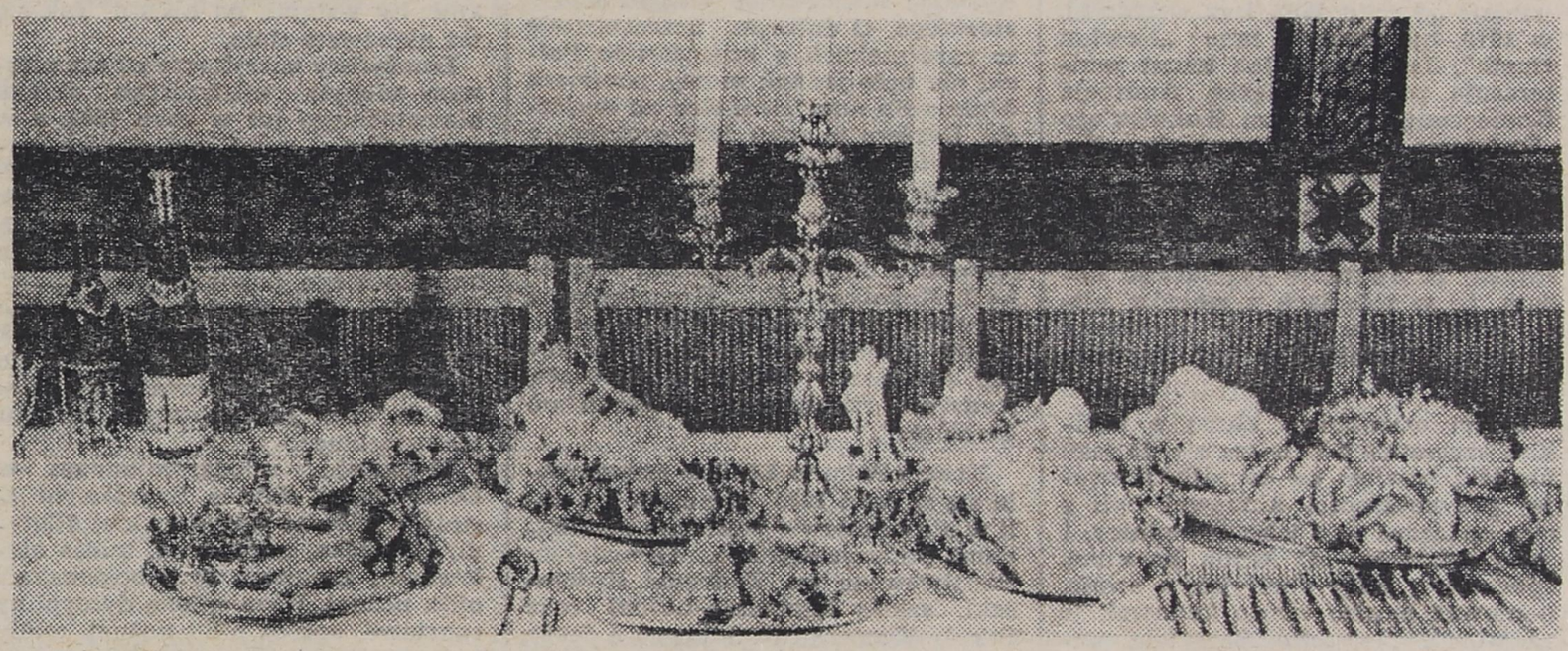

Jak każda budowla, tak i ciało człowieka wymaga, aby je opalano i w miarę „zużycia" odnawiano. Materiały do odnowienia znajduje człowiek w pokarmach. Jakie wybierze, to już zależy od niego, Doktorzy: Pary'e i Smitt obliczyli, że ustrój potrzebuje około 1/4 funta materii azotowych i 1/2 funta węglowodanów i węglowodów. Widzimy więc, że dla odnowienia organizmu człowiek potrzebuje bardzo niewiele białka.

„Nie przy mięsnej diecie nieśmiertelni Spartańczykowie broniący walecznie przejścia przez Thermopile, tak wspomniałą natchnięci zostali odwagą. Toż samo można powiedzieć o zwycięstwie pod Salaminą i Maratonem. Dopóki synowie Rzymu i Grecji na diecie roślinnej pozostawali, dopóty państwa ich słynęły z podbojów i potęgi" [...]. „Z chwilą jednak, gdy rozkosze podniebienia wyrugowały skromne roślinne pokarmy, zniewieściałość i małoduszność zajęły miejsca odwagi".

Młodzież grecka — co jest faktem historycznym — pozostająca w tzw. „palestrach" ćwiczyła bardzo intensywnie odżywiając się wyłącznie chlebem jęczmiennym maczanym w oleju. Byron zauważył, że portowi robotnicy tureccy przenoszą z łatwością na plecach około 600—800 funtów odżywiając się jedynie chlebem z kukurydzy, suszonymi figami i daktylami. W tym ostatnim przypadku coś mi nie pasuje, bo pod Wiedniem to myśmy okazali się lepsi, choć nie jest też wcale pewne, czy nasi praojcowie, zrujnowawszy się wprzód na inwestycje zbrojeniowe, nie byli też zmuszeni do odżywiania się... figami.

Reprod. GABOR LÖRINCZY

Źródła: „Kłosy" nr. 1253 i 1508; „Tygodnik Ilustrowany" z 11 sierpnia 1888 roku; „Wędrowiec", nr. 35, 36, 37, 40 z 1894 r.

dokumenty

KONTAKTY

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 20 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 52 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

sport

to były czasy

Im bardziej data narodzin Łomżyńskiego Klubu Sportowego oddala się w czasie, tym więcej rodzi wątpliwości. Henryk Ciešluk powstanie ŁKS-u umieszcza w dacie 16 kwietnia 1928 roku. Popierają go inni naoczni świadkowie ówczesnych wydarzeń: Rafał Wszedyrówny oraz Michał Kwiek. Ale oficjalna wersja jest inna. Jeden z działaczy skwitował ten fakt następująco: — Doliczono dwa lata, by okrągłą rocznicę uświetnić jedną z uroczystości odbywających się już w czasach współczesnych!

ŁKS w prostej linii jest spadkobiercą „Łomżynianki". W roku 1927 „Strzelec", który powstał równocześnie z „Piechurem" (drużyną piłki nożnej 33 pułku piechoty w Łomży), zmienił nazwę właśnie na: „Łomżynianka". (Zarówno „Piechur", jak i „Strzelec" powstały w latach 1922—24). O ich więzach z ŁKS-em świadczą m. in. powtarzające się w składach tych drużyn nazwiska piłkarzy. Są to fakty świadczące na korzyść tych, którzy powstanie klubu wiążą z rokiem 1926. Przecież powszechnie praktykuje się przejmowanie w spadku po wcześniej istniejących klubach ich nazw i tradycji. Oto kilka przykładów: londyński „Aresanal" nazywa się tak od roku 1913, a powstał w 1884 jako „Dial Square"; „Honved" S. E. Budapeszt istnieje od 19 grudnia 1949, ale narodził się w roku 1909 pod nazwą „Kispest"; „Manchester United" F. C. pod obecną nazwą istnieje od roku 1902, lecz wcześniej, w 1978, był znany jako „Newton Heath". Jeśli kogoś ten temat zainteresuje, polecam książkę Andrzeja Koniecznego i Janusza Kukulskiego „Światowe kluby piłkarskie". Nie wiem, gdzie ją można dostać.

Wracam do ŁKS-u. Nie ma co się spierać o te dwa lata. Aby jednak sprawę przewrotnie zagmatwać dodam, że w relacjach z meczów piłkarskich roku 1926 nie spotkamy drużyny „Strzelca", a tym bardziej ŁKS-u.

Starsi członkowie klubu z wielkim szacunkiem odnoszą się do jego historii, bowiem od początków swojej przynależności klubowej byli z nim związani — i jako zawodnicy, i jako działacze. O każdą koszulkę, spodenki i buty dbali jak o swoje, ponieważ bardzo często kupowali je za własne pieniądze. Szczytem marzeń młodego zawodnika było otrzymanie w spadku po starszym koledze

nawet zdezelowanych butów czy kostiumów.

Jerzy Doda, znany łomżyniakom nauczyciel wychowania fizycznego, tak wspomina tamte czasy: *„W roku 1933 wyjeżdżaliśmy z Łomży do Grodna na turniej o mistrzostwo okręgu białostockiego w koszykówce. Podróż odbywaliśmy rozklekotanym gratem, czymś w rodzaju dzisiejszej furgonetki, wypożyczonym przez 33 pułk piechoty. Co kilkadziesiąt kilometrów nawalały nam dętki. Po zużyciu zapasu łatek, opony wypychaliśmy słomą (w jedną wchodził jeden snopek). Po przejechaniu 6—8 kilometrów operację ze słomą trzeba było powtarzać. Efekt był taki, że na pierwszy mecz spóźniliśmy się, przegrywając go walkowerem. Ale już wszystkie następne wygraliśmy zdobywając mistrzostwo okręgu białostockiego. O dalszym uczestnictwie w rozgrywkach o mistrzostwo Polski nie było jednak mowy, ponieważ brakowało nam pieniędzy na wyjazdy. Dopiero w roku 1934 graliśmy z »Polonią« Warszawa, przegrywając niestety 48:25. Wynik nie był jednak hańbiący, bo w składzie przeciwników było kilku ówczesnych reprezentantów Polski: Sowiński, Kapałko I, Kopałko II, Gregolajtys i Żgliński. ŁKS wystąpił w składzie: Adam Mickiewicz, Jerzy Doda, Jerzy Browicz, Stanisław Gątarski, Andrzej Polakowski i Stanisław Stroiński".*

Koszykówka w ŁKS-ie zadomowiła się w roku 1932. Przedtem grywali w nią uczniowie Męskiego Seminarium Nauczycielskiego, Gimnazjum Państwowego im. Tadeusza Kościuszki, szkoły Mierniczo-Leśnej oraz Szkoły Kupiecko-Handlowej, a także wojskowi z 33 pułku piechoty. Jerzy Doda wraz z kolegami, Stanisławem Myślińskim, Henrykiem Masłowskim, Franciszkiem Łabanowskim, Mieczysławem Prusińskim i Tadeuszem Wasilewskim, w roku 1928 założyli „prywatną" drużynę koszykówki, która nazywała się „Skra". Sprzęt zakupił, najlepiej wtedy sytuowany, Jerzy Doda. Najbardziej zacięte pojedynki staczali z Gimnazjalnym Klubem Sportowym — ulubieńcem kibiców, a szczególnie piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Gdy, na przykład, koszykarze GKS-u przegrywali (a zdarzało się im to często w konfrontacjach ze „Skrą"), ich wielbiciele, trzęsąc drewnianymi słupkami, podtrzymującymi tablice z koszami, utrudniały przeciwnikom trafienie do kosza. Ale i przy tych przeszkodach grupa Dody wypadała chyba całkiem nieźle, skoro Henryk Ciešluk usilnie namawiał jej członków, by wstąpili do ŁKS-u. Tak się też niebawem stało.

Łomżyńscy koszykarze po raz pierwszy zdobyli mistrzostwo okręgu białostockiego już w roku 1932, a w następnym — powtórzyli sukces, wygrywając z „Cresovią" Grodno 11:7 i 20:8 oraz z „Makabi" Białystok 29:10. W roku 1924, w finałowych rozgrywkach o mistrzostwo okręgu białostockiego, pokonali „Jagiellonię" Białystok 22:18, przegrywając jednak kolejne mecze z „Makabi" Białystok 20:37 i WKS Grodno 15:24. Aż do wybuchu II wojny światowej należeli do czołowych drużyn okręgu białostockiego.

W okresie międzywojennym w Łomżyńskim Klubie Sportowym istniały również sekcje lekkiej atletyki, pływacka, narciarska, tenisa stołowego i ziemnego oraz bokserska i piłki nożnej. Wymienione dyscypliny sportowe, oprócz piłki nożnej, miały jednak głównie charakter towarzyski i rekreacyjny. Pokazową walkę bokserską stoczyli np. w roku 1927 bokser i publicysta sportowy, Wiktor Dąbrowski, z Finem, zawodnikiem „Makabi" Łomża.

Pierwsze wzmianki o piłkarzach ŁKS-u pochodzą z roku 1928. Piłka nożna była w Łomży sportem bardzo popularnym i liczyła się w województwie białostockim. Zachowały się wyniki meczów, jakie w roku 1928 ŁKS stoczył z innymi drużynami, np.: z drużyną 33 pułku piechoty w dniu 20 kwietnia wygrał 6:0, by w dniu 8 sierpnia przegrać 0:6.

Upragniony awans do klasy A ŁKS wywalczył w roku 1933, osiągając następujące wyniki: z „Jutrznią" Białystok 7:1 i 3:0; z „Jagiellonią" Białystok 8:1 i 5:2; z „Makabi" Białystok 2:0 i 3:2; z „Promieniem" Białystok 3:0 i 3:0; z Żydowskim Klubem Sportowym w Bielsku Podlaskim 4:0 i 3:0; z 41 pułkiem piechoty w Suwałkach 3:0 i 3:3. Łatwo policzyć, że piłkarze ŁKS-u, w dwunastu meczach, strzelili przeciwnikom aż 47 bramek, tracąc tylko 7! Do czołowych piłkarzy tego okresu należeli: Polakowski, Wrzesiński, Wszędyrówny, Kwiek, Dziubkiewicz, Cieśluk, bracia Samelkowie, Gosiewski, Kowalik, Goss, Stefanek i Rysiak.

Jeszcze jedno wydarzenie z roku 1933 zasługuje na uwagę, a mianowicie: w dniu 28 października Henryk Cieśluk rozegrał swój setny mecz.

Występy w A klasie w roku 1934 ŁKS zainaugurował 20 maja meczem z „Jagiellonią" Białystok wygrywając 2:1, a następnie 16 czerwca pokonał „Hapoel" Białystok aż 7:1. Bramki zdobyli wówczas: Wszędyrówny — 3, a Polakowski i Wrzesiński — po 2. Decydujące o mistrzostwie w klasie A mecze piłkarze ŁKS-u rozegrali z WKS-em Grodno, dwukrotnie przegrywając 0:5 i 2:3. Ale, na osłodę, 1 września wygrali z mistrzem A klasy, warszawską „Gwiazdą" — 2:0.

Rok 1934 był dla łomżyniaków bogaty w wydarzenia piłkarskie. Dnia 18 września ŁKS podejmował „Hapoel" Tel Aviw; przegrał 4:0. Wcześniej goście pokonali krakowską „Wisłę" i warszawską „Legię". W październiku łomżyniacy gościli drużynę „Legii" Warszawa, z którą przegrali 1:3, a honorową bramkę dla ŁKS-u zdobył Polakowski.

Ostatni mecz w barwach ŁKS-u piłkarze rozegrali 9 września 1939 roku z drużyną Armii Radzieckiej „Tankiści". W tym roku ŁKS został włączony do federacji „Spartak" i pod taką nazwą występował do roku 1941, prowadząc działalność w sekcjach piłki nożnej i bokserskiej.

Opracował S. T.

holowanie życzliwości

skrzyżOwania skrzyżOwania

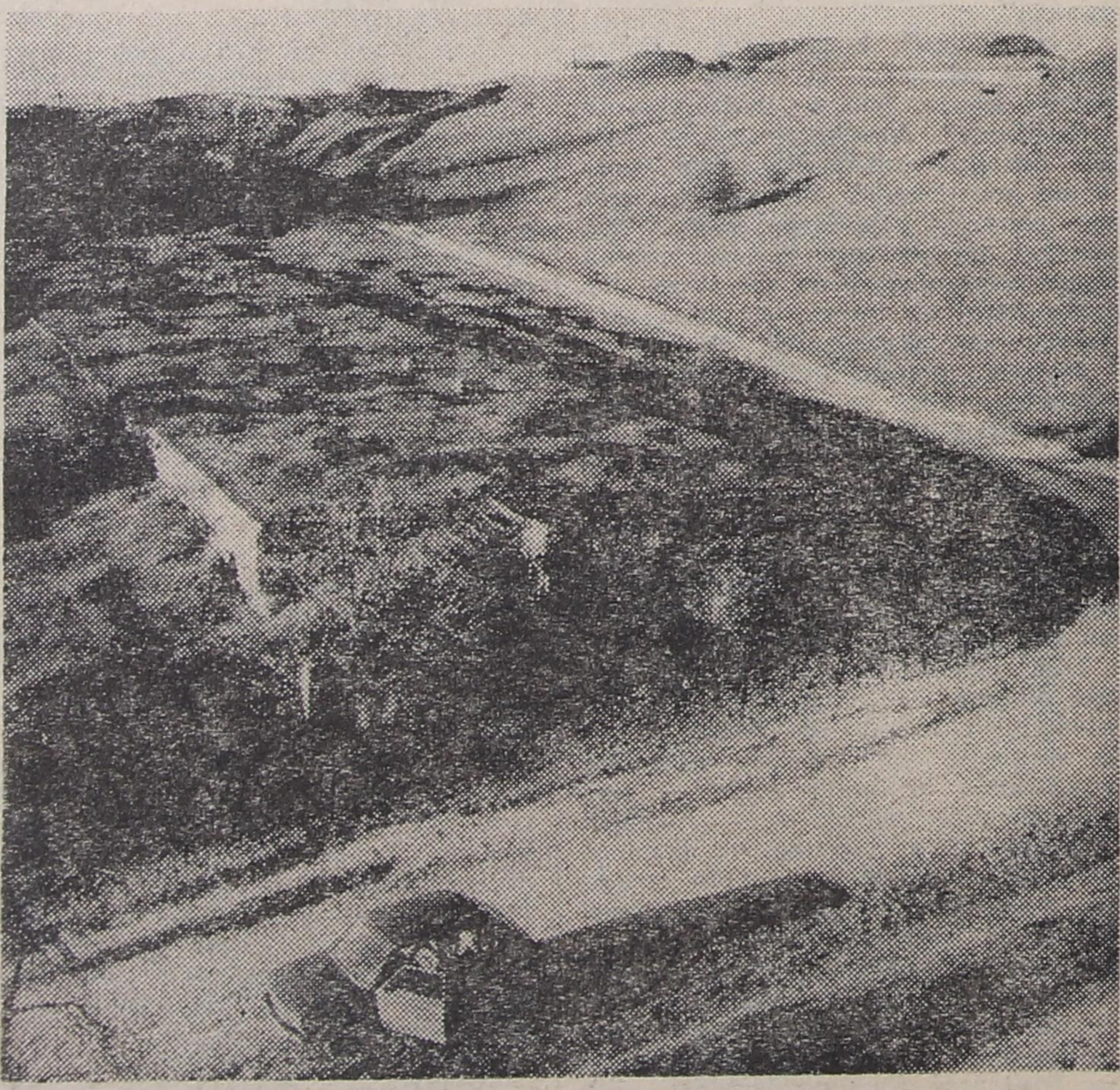

Zwykły, wiosenny poranek. Dostawczy żuczek wpada do rowu, rannych zabiera karetka pogotowia. Na miejscu pozostaje tylko kierowca, bezskutecznie próbujący wyjechać z rowu. Wszystko to dzieje się na międzynarodowej szosie E-12 w pobliżu Mężenina, nic więc dziwnego, że już po chwili hamuje obok ogromna ciężarowa scania z TIR-u, wyskakuje z niej sympatyczny mężczyzna, proponuje koledze po fachu pomoc w wyprowadzeniu furgonetki na jezdnię. Niestety, żaden z panów nie dysponuje liną konieczną do tego celu. I wtedy staje przy nich chłodnia z Zakładów Mięsnych — jelcz z numerem rejestracyjnym BKB 504C — a jego kierowca ma akurat linę. Zdawać by się mogło, że oto nadszedł kres kłopotów i nie pozostaje nic innego, jak podczepić linę. O naiwności! Oto przytomny i świadomy swej roli szofer z zakładów mięsnych ni stąd, ni z owąd żąda za wyciągnięcie żuka z rowu... 200 złotych. Trzęsący się z oburzenia pan z TIR-u prosi o wypożyczenie liny, chce ciągnąć swoim samochodem. Ale handlowiec z chłodni nie ustępuje. „Nie ma nic za darmo" — rzuca twardo, nie pozostawiając co do swej decyzji żadnych złudzeń.

Obrazki tego typu są dość pospolite na naszych drogach, a jeszcze częściej napotykamy nieszczęśników z popsutymi pojazdami, którzy (nieraz godzinami) bez rezultatu wymachują rękami.

Snując wizję przyszłości w duchu bujnego rozkwitu komercjalizacji dobrej woli, szybko dojdziemy do wniosku, iż za lat paręnaście trzeba będzie za „dzień dobry" na ulicy płacić dwie dychy, a za dziękuję — pewnie z pięć.

Póki co, pomocy na drodze mogą się spodziewać jedynie bardzo atrakcyjne dziewczyny, i to tylko przy sprzyjającej pogodzie. Słyszałem ostatnio o pięknej pani, zmuszonej do samodzielnego popychania „malucha", mimo licznie przejeżdżających przy niej samochodów. Jeszcze gorzej stoją szanse kierowcy, który na zatłoczonej jezdni chce skręcić w lewo. Żaden z pojazdów jadących z przeciwka nie zatrzyma się dla umożliwienia mu wykonania tego manewru. Ciekawe, czy przepuściliby go na widok — znaczącej przyklejonej na szybie — stówy?

Komercyjne podejście do życia nie jest niczym nowym. Publicyści od czasu do czasu zachłystują się krytyką komercjalnej muzyki, sportu, kina; inni znów w tym „materializmie" nie widzą zdrożności. Może właśnie ci ostatni zarazili tysiące z nas chorobą zwaną „nie ma nic za darmo"? Wypadałoby wtedy, na fali odnowy, jej przeciwdziałać, np. sprowadzić z importu (nawet z II strefy płatniczej) odrobinę bezinteresownej życzliwości, posiać ją w — leżących odłogiem — inspektach i rozdać 36 milionom Polaków.

Kiedyś propagowano usilnie wśród kierowców akcję pod szumnym hasłem „Na mnie możesz liczyć". Faktycznie cały wysiłek organizatorów spełzł na niczym. Ludzie pragnący nieść pomoc innym — niosą ją i bez akcji, a pozostałych żadne hasło nie odmieni. Przeto mam konkurencyjną propozycję: zaopatrywania pojazdów, którymi jeżdżą nieczuli na wezwania o pomoc, w plakietki z napisem „Na mnie nie licz". Ten prosty zabieg uprzedzi będących w opresji, co do postawy przejeżdżających, aby nie próbowali zawracać głowy swoimi sprawami posiadaczom plakietek. Wprawdzie wyglądałoby to jak napis na koszulce ratownika „Dziś nie pracuję" w oczach tonącego, ale mamy chyba prawo żądać przynajmniej świadomości naszego losu.

Wnoszę zatem o poważne potraktowanie całego problemu przez kompetentne władze i o wydanie odpowiedniego aktu prawnego na okoliczność objęcia ścisłą ochroną ginącej życzliwości. Akt taki postawi ją na równi z orłem bielikiem, czarnym bocianem tudzież salamandrą plamistą, a ewentualnych niszczycieli odstraszy surowymi sankcjami. I może (jak w przypadku łosia czy bobra) doprowadzi do odrodzenia gatunku...

DYŻURNY DROGOWSKAZ

7.05.1981 TV 13.05.1981

CZWARTEK 7 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — biologia, sem. II.
9.00. Praca — technika, kl. II.
9.55. Język polski, kl. II lic.
11.00. Język polski, kl. VIII.
11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
14.00. TTR, RTSS — geografia, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. „Turniej zastępowych".
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Łódź.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „O mnie, o Tobie, o nas" i „Był sobie człowiek".
17.30. Informator turystyczny.
17.45. Poligon.
18.10. Telewizja Młodych — CDN.
18.40. Telewizja w sprawie miliardów.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Analiza".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Aniołki Charliego" — „Brudna sprawa".
21.05. Pegaz.
21.50. Mistrzostwa Europy w boksie.
22.20. Próby — magazyn społeczno-ekonomiczny.
22.50. Dziennik Telewizyjny.
23.05. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Sonda — „Analiza".
10.30. Informator turystyczny.
10.45. Skarbiec.
16.30. Język rosyjski (29).
17.00. Język angielski dla zaawansowanych (4).
17.30. Język angielski (29).
18.00. Program morski.
18.30. „Szacunek dla chleba" — „Gdyby ryby miały głos".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — pedagogika.
20.30. NURT — język polski.
21.00. NURT — psychologia.
21.30. 24 godziny.
21.40. „Bez recept" — problemy adopcji.
22.10. Mistrzostwa Europy w boksie.

PIĄTEK 8 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSS — geografia, sem. IV.
9.55. Geografia, kl. VI.
11.00. „Wokół nas", kl. II — „Orzeł Biały".
11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII.
13.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
13.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
14.00. Redakcja szkolna zapowiada.
14.20. XXXIV Wyścig Pokoju.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Obiektyw — Poznań.
16.45. „Piątek z Pankracym".
17.15. Skarbiec — dwutygodnik historyczny.
17.45. „Hrabia Gaston, Rycerz z Pirenejów" (5, ostatni).
18.40. „Polska leży na biegunie".
19.00. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Gwiazdy poranne" — polski film fabularny.
21.50. Rolnicze rozmowy.
22.00. „Listy o gospodarce".
22.45. Mistrzostwa Europy w boksie.
23.45. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
10.00. „Nieznani bohaterowie" (6) — „Diament".
11.00. „Ziemia ojców" (6) — „Cyryl".
16.35. Język francuski (29).
17.00. Język rosyjski (29).
17.30. Język angielski dl zaawansowanych (4).
18.00. Sekrety Kina.
18.30. „Latający Holender".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Pojczyn 80 — koncert finałowy.
20.50. „Mówić nie mówić" — „Czy powrócić piekło kobiet?"
21.30. 24 godziny.
21.45. „Nieznani bohaterowie" (6) — „Diament".
22.45. „Trzy tygodnie" — angielski film fabularny.

SOBOTA 9 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
7.00. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. IV.
7.30. TTR, RTSS — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
10.55. „Drogi zwycięstwa" — film dokumentalny.
11.45. Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie.
12.35. „Jasny Dzień Zwycięstwa" — program muzyczno-literacki.
13.35. Przeboje Interwizji.
14.25. „One szły na Berlin" — radziecki dramat wojenny.
15.45. Dziennik Telewizyjny.
16.00. XXXIV Wyścig Pokoju.
16.45. „Skakanka".
17.15. „Gwiazdozbiór" — Piotr Fronczewski.
18.00. „Z Polski rodem" — magazyn polonijny.
18.40. Przemówienie ambasadora CSRS w Polsce.
18.50. Dobranoc.
19.00. Program publicystyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Punkt widzenia" (2) — serial obyczajowy TP.
20.55. Blisko i Daleko — program reporterów.
21.25. Kronika Wyścigu Pokoju.
21.40. „Polska pieśń żołnierska" — Berlin 1945.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Kino Nocne: „Droga do Saliny" — francuski dramat sensacyjny.
PROGRAM II
10.45. „Przemytnicy" wg noweli Maksyma Gorkiego.
12.00. STUDIO 2

NIEDZIELA 10 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.20. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. IV.
6.50. TTR, RTSS — mechanizacja rolnictwa sem. IV
7.20. TTR, RTSS — „Wiedza naszą szansą".
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Od słowa do działania".
8.35. „Telewizjada".
9.00. Teleranek, m.in. „Daktari" — serial przygodowy
10.30. Antena.
10.55. „Wielkie miasta świata" — Londyn.
11.55. Dziennik Telewizyjny.
12.10. „Dlaczego?" — program rolny.
12.50. TYLKO W NIEDZIELĘ.
13.00. Mistrzostwa Europy w boksie.
16.45. „Pytania na dziś".
17.10. XXXIV Wyścig Pokoju.
17.30. „Nie ma to jak we dwoje" — hiszpański program rozrywkowy.
18.10. Godzina z Jerzym Turowiczem — naczelnym redaktorem „Tygodnika Powszechnego".
19.05. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Buddenbrockowie" (3).
21.10. Studio Sport.
21.50. „Jaki jestem naprawdę" — Jerzy Waldorff.
22.25. „Śmierć pieśni" — poezje F. G. Lorki śpiewa Anna Chodakowska.
PROGRAM II
10.25. „Symbole zwycięstwa" — program wojskowy.
10.55. Przeboje tygodnia.
12.05. „Punkt widzenia" (2) — serial obyczajowy TP.
13.00. Kiermasz książki (1).
13.15. „Przygody Sindbada".
13.40. „Szlaki kultury polskiej" — rozważania prof. Janusza Tazbira.
14.05. „Mieszkanie, ale jakie?".
14.25. Kiermasz książki (2).
14.35. „Dziecko dżungli" — amerykański film fabularny.
15.45. Teatr Telewizji — Cyprian Kamil Norwid: „Pierścień wielkiej damy".
17.50. Popołudnie Fauny i Flory.
18.35. Adrian Banchieri: „Starcze szaleństwo".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Takty" — Biuro Muzyki Rozrywkowej (2).
21.00. „Gra" film w reż. Jerzego Kawalerowicza.

PONIEDZIAŁEK 11 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
13.30. TTR, TRSS — historia, sem. II.
14.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. II.
15.30. NURT — psychologia.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Szczecin.
17.00. „Czterej pancerni i pies" (16) — „Daleki patrol".
18.00 Kronika Wyścigu Pokoju.
18.30. Impulsy — magazyn spraw pracowniczych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Teatr Telewizji — Leon Kruczkowski: „Niemcy" w reż. Andrzeja Łapickiego.
22.05 Rolnicze rozmowy.
22.35. 30 minut z architekturą.
23.05. Dziennik Telewizyjny.
23.15. Kronika Wyścigu Pokoju.
PROGRAM II
16.30. Język niemiecki (30).
17.00. Język francuski (30).
17.30. Język rosyjski (30).
18.00. „Spotkajmy się raz jeszcze".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Spotkajmy się raz jeszcze".

WTOREK 12 MAJA 1981 R.
PROGRAM II
6.00. TTR, RTSS — historia, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. II.
9.00. Język polski, kl. V—VI.
9.55. „Czerwone, żółte, zielone" — „Gdzie się bawić?"
13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. IV.
14.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Warszawa.
16.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
16.55. „Między nami jaskiniowcami".
17.20. Klinika Zdrowego Człowieka.
17.50. Polska Kronika Filmowa.
18.00. Telewizja Młodych przedstawia.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Sól ziemi" (7).
21.25. Horyzont.
21.55. „Drugie oblicze kultury" — wernisaż w Biłgoraju.
22.20. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Klinika Zdrowego Człowieka.
10.30. „Sól ziemi" (6).
11.35. Drugie oblicze kultury" — wernisaż w Biłgoraju.
16.35. Język angielski (30).
17.00. Język niemiecki (30).
17.30. Język francuski (30).
18.00. Kino Telewizji Najmłodszych.
18.30. Pegaz Młodych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Sensacje z przeszłości — „Dzieje formy książki".
20.30. Wtorek Melomana.
21.30. 24 godziny.
21.40. Wieczór Filmowy.

ŚRODA 13 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. IV.
6.30. TTR, RTSS —. matematyka, sem. IV.
8.10. Chemia, kl. VIII.
9.55. Fizyka, kl. VII.
11.00. Historia, kl. VII.
13.30. TTR, RTSS — chemia, sem. II.
14.00. TTR, RTSS — biologia, sem. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Wrocław.
16.30. „Michałki".
17.10. Dom i My.
17.30. Kronika Wyścigu Pokoju.
18.20. Klub Dobrej Książki.
18.50. Dobranoc.
19.00. Wyspy Hiszpanii.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.05. „Antysentymenty" — widowisko literacko-muzyczne.
21.35. Puchar Zdobywców Pucharu.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. „Antysentymenty, czyli miłość jest jak niedziela".
10.30. „Przygoda nad Morzem Czarnym" (2).
11.35. Klub Dobrej Książki.
16.20. Język angielski dla zaawansowanych (5).
16.50. Język angielski (30).
17.20. Język niemiecki (30).
17.50. „Przygoda nad Morzem Czarnym" (2).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Szkiełko i Oko — magazyn popularnonaukowy.
21.30. 24 godziny.
21.40. Publicystyka międzynarodowa.

Łomża, kino „Październik": 7—10 V — „Cena strachu", prod. USA (od lat 18); 11—13 V — „Gorące polowanie", prod. jap. (od lat 15).
Ciechanowiec, kino „Meteor": 7—8 V — „Ostatni z Fleksnesów", prod. norwes. (od lat 15); 9—10 V — „E.I.S.T.", prod. USA (od lat 18); 12—13 V — „Prawdziwe życie Drakuli", prod. rum. (od lat 15).
Grajewo, kino „Relax": 7 V — „Powrót na ziemię", prod. pol. (od lat 15); 8—17 V — seanse zamknięte.
Jedwabne, kino „Oaza": 7 V — „Pierwsza miłość", prod. włosk. (od lat 18); 9—10 V — „Dziedzictwo", prod. ang. (od lat 18); 13—14 V — „Rocky II", prod. USA (od lat 15).
Kolno, kino „Wrzos": 7—8 V — „Agnieszka idzie na śmierć", prod. włosk. (od lat 15); 9—10 V — „Nie taki zły", prod. franc. (od lat 15); 11—13 V — „Proces poszlakowy", prod. jap. (od lat 18).
Nowogród, kino „Ziemowit": 9—10 V — „Milczący wspólnik", prod. kanad (od lat 18); 12—13 V — „Martwa fala", prod pol. (od lat 15).
Stawiski, kino „Saturn": 7—8 V — Tajemnica stalowego miasta", prod. CSRS (od lat 12); 9—10 V — „Pałac", prod. pol. (od lat 18); 12—13 V — „Ludzie godni szacunku", prod. włosk. (od lat 18).
Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 7—8 V — „Płonący wieżowiec", prod. USA (od lat 15); 9—10 V — „Polonia Rediviva", prod. pol. (od lat 12)); 12—15 V — „Superpotwór", prod. jap. (bez ograniczeń).
Zambrów, kino „Kosmos": 8 V — „Gangsterzy szos", prod. franc. (od lat 15); 9—11 V — „Miś", prod. pol. (od lat 15); 12—13 V — „Libera moja miłość", prod. włosk. (od lat 15).
Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: spotkanie Klubu Seniora (w klubie), 9 V, godz. 16.00; w Galerii Plastyki Nieprofesjonalnej (hol WDK) — wystawa malarstwa Czesława Dzieweczyńskiego z okazji 25-lecia pracy twórczej.
Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu" — film „Pies, który lubił pociągi" w reż. Paskaljewić (jug.), 8 V, godz. 18.00 w WDK; film „Album polski" w reż. Jana Rybkowskiego, 9 V, godz. 18.00 w klubie „Pod Arkadami"; wystawa fotografii Witolda Michalika (w klubie „Pod Arkadami"), czynna w dniach 8—15 V, w godz. 12.00—20.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: „Dajmy im tylko pamięć" — montaż słowno-muzyczny z okazji Dnia Zwycięstwa, 9 V, godz. 11.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokiem Mazowieckiem: wystawa książek połączona z przeglądem nowości czytelniczych, czynna w dniach 3—25 V.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: występ zespołu seniorów w Zakładowym Domu Kultury „Relax", 12 V, godz. 18.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Szlakiem zwycięstwa" — wieczór poetycki, 9 V, godz. 17.00; „Gramy w zielone" — konkursy, poezja, zabawy na wiosennym spotkaniu z tańcem i muzyką, 9 V, godz. 18.00.
Stowarzyszenie PAX: spotkanie z red. Janem Kardaszewiczem z „WTK" nt. Konstytucji 3 maja, w sali Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu, 7 V, godz. 18.00

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): J. Cyroto — „Portret nieznanej dziewczyny" (z początku XX wieku).
Galeria Jednej Fotografii, ul. Sciegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Zbigniew Dziubiński — „Lot".
Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: wystawa prac plastycznych dzieci ze Szkoły Podstawowej w Bulewicach koło Oświęcimia.
Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00 w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): malarstwo Zbigniewa Kruszewskiego — wystawa 36 obrazów artysty-plastyka z Łomży

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. Wystawy: „Nabytki Muzeum w latach 1975—1980" — wystawa najciekawszych eksponatów z różnych dziedzin kultury; „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa ze zbiorów własnych, prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.
Park Etnograficzny Północno-Wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. Wystawy: 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".
Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. Wystawa czasowa: „Kwiaty" — malarstwo Jana Kulikowskiego.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul Gielczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna
Pogotowie Chirurgiczne ul Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne cała dobe

Ogłoszenia drobne

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336.
k 604-0

Biuro Matrymonialne „Piast", 84--300 Lęgork, skr. pocz. 22 — poleca usługi.
p 371-0

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE
w Łomży
zatrudni natychmiast
pracowników w następujących zawodach:;
— monterzy konstrukcji żelbetowych,
— spawacze elektryczni (uprawnienia na spawanie konstrukcji),
— murarze — tynkarze
— elektromonter (uprawnienia SEP bez ograniczenia napięcia),
— maszynista sprężarek (uprawnienia).
Warunki płacy i pracy do omówienia na miejscu w ŁPB w Łomży, ul Nowogrodzka 1 pokój 5.
Pracownikom nie posiadającym rodzin (zamiejscowym) zapewniamy zakwaterowanie w hotelu robotniczym w Łomży.
k 1571-00

KONTAKTY

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Benczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach Wiesław Kołowski Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter — Gabor Lörinczy Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Henryk Kin, Andrzej Kozlara Klemens Krzyżagórski Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski Wojciech Woźniak **KONCEPCJA GRAFICZNA** Marek Goebel **ADRES REDAKCJI:** ul Sadowa 10 18-400 Łomża. Tel 34-95, 40 22, telex — 853249 **WYDAWCA:** RSW „Prasa Książka Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne, Zam. 751/81 r. Nakład 24 500. A-2. PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyd. „Kontakty" 18 400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT

ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Biebrzański, Bużański i Narwiański, tym razem nie siedzą, jak zwykle, tylko idą brzegiem z lekka przytrutej rzeki Narwi z kierunku wschodniego na zachód. Idąc, uginają się pod ciężarem worków wypełnionych bliżej na razie nie zidentyfikowanym towarem.

DOJLICKI: Cholera! Ciężkie toto jak wszyscy diabli!

BIEBRZAŃSKI: Można nawet powiedzieć, że robi się cięższy prawie z dnia na dzień.

BUŻAŃSKI: Powiem więcej, nawet z godziny na godzinę.

NARWIAŃSKI: Jak dobrze pójdzie, ciężar będzie wzrastał z minuty na minutę.

DOJLICKI: I żeby chociaż był to ciężar odpowiedzialności, zawsze byłoby lżej go nieść.

NARWIAŃSKI: No pewnie! Ma się już nie byle jaką wprawę w noszeniu takich ciężarów.

BUŻAŃSKI *(przystaje)*: Koledzy! Właściwie na diabła my to niesiemy?

BIEBRZAŃSKI *(przystaje)*: Święta prawda, choć w diabelskim wydaniu. Jakoś inaczej nie można takich operacji załatwiać? Nadźwiga się diabeł jak cholera, a pożytku z tego żadnego wcale. Konta nam trzeba pozakładać. Idzie diabeł do sklepu, za ocet czekiem płaci i załatwiona sprawa. Po cholerę nosić tyle tego chłamu?

DOJLICKI: Głupi jesteście jak ten but, nie przymierzając. Naszą diabelską gospodarkę może uratować tylko twardy pieniądz!

BIEBRZAŃSKI: O kutwa, z żelaza? Od samych papierków nogi się pode mną uginają!

DOJLICKI: No nie! Wy jesteście nawet głupsi niż myślałem. Na ekonomii ani trochę się nie znacie.

BIEBRZAŃSKI: Pewnie że się nie znam. Kto by mi dał tę posadę, gdybym się znał? I wy też na pewno na niczym się nie znacie, inaczej bylibyście zwyczajnym, nędznym diabłem. A jesteście, można powiedzieć, diabelskim prominentem. Macie dziuplę letniskową w wierzbie nad Narwią, kopyta u was pozłacane, nawet rogi jakieś takie niezwyczajne.

BUŻAŃSKI: Warto jeszcze wspomnieć o srebrnym nocniku, który zawsze sobie przy pryczy, łobuz, jeden stawia!

DOJLICKI: Kto ma dziuplę? Ja!? Bodaj was diabli, wzięli solidarniki jedne! Pozłotę na kopyta zrobił mi dziadek za uskładane pieniądze w trakcie całego swojego pracowitego życia. Nocnik srebrny pochodzi z moich własnych, nader uczciwie zdobytych, oszczędności, natomiast od rogów się odpieprzcie łaskawie!

NARWIAŃSKI: Słucham ja, słucham i zaraz lżej mi się niesie. Diabeł zaraz sobie myśli, że w tym całym nieszczęściu nie jest sam. Do mnie, dajmy na to, też się różni przychrzaniają. Całe szczęście, że mam w naszej Izbie Kontroli pozytywne kontakty.

BUŻAŃSKI: Żeby nie te kontakty, dawno by nas wszystkich diabli wzięli!

DOJLICKI: To jeszcze słabawo powiedziane. Najpierw trzeba by iść gdzieś do jakieś czeluści na długoterminową odsiadkę.

BIEBRZAŃSKI: Koledzy! Coś mi teraz przyszło na myśl. Właściwie po diabła idę z wami do tego sklepu? Przecież ja już mam musztardę.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Rysunek Adama Hoffmana. Reprodukcja Włodzimierz Cieslowski

DONOS NR 7

Ostatnio jestem tak bojowo nastawiony, że we wszystkim węszę zwycięstwo. Właśnie buszowałem za drewnianym parkanem, który postawiono celem osłaniania inwestycyjnego niedowładu i martwoty, w poszukiwaniu miejsca, gdzie można byłoby ukryć poważniejsze rezerwy przed wścibskim okiem Studia 2. Aż tu raptem czuję, jak ktoś chwyta mnie za rogi.

— Chodź, mećka — powiada — na jarmark, bo nie mam już na zalanie robaka. Ruszże się, stara klępo!

Ki anioł siarczysty! Z ciekawości aż wychyliłam się zza płotu.

— Bbbardzo pana przepraszam — wymamrotał zbaraniały chłopina — myślałem, że to moja łaciata, ale widać rzeczywiście sprzedałem ją zeszłego roku.

Coś tam jeszcze marudził, potem hepnął raz i drugi, zrobił kilka kroków i padł w objęcia latarni. No, niech mnie baby w ogon łaskoczą, ale żeby podwyżka działała jak narkotyk! Tego jeszcze nie widziałem.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Piekło centralne z powodzeniem wdraża w życie nowy projekt zabiegu agrotechnicznego, polegający na wypalaniu suchych traw na łąkach i pastwiskach. Pozwoli to na poważne obniżenie ilości otrzymywanej zielonej masy w bieżącym roku, a jednocześnie można być spokojnym, że pogłowie cielęcych łbów będzie wciąż wysokie.

Wiedźmy wyniuchały, że w Peweksie sprzedawano miotły. Z miejsca podniósł się rwetes w strefie bezdolarowej, pojawiły się nawet studolarówki, jakby nieco sfałszowane, ale sprawa przycichła wraz z podniesieniem się stopy. Nie wiadomo tylko, czyja to była stopa?!

WYTYCZNE

Mądry Polak za granicą.

WSKAZÓWKI

Bocian wyjada nam dewizy.

TWÓRCZOŚĆ

Przychylnie wita odnowę — koryta.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał

TADEUSZ CHARMUSZKO

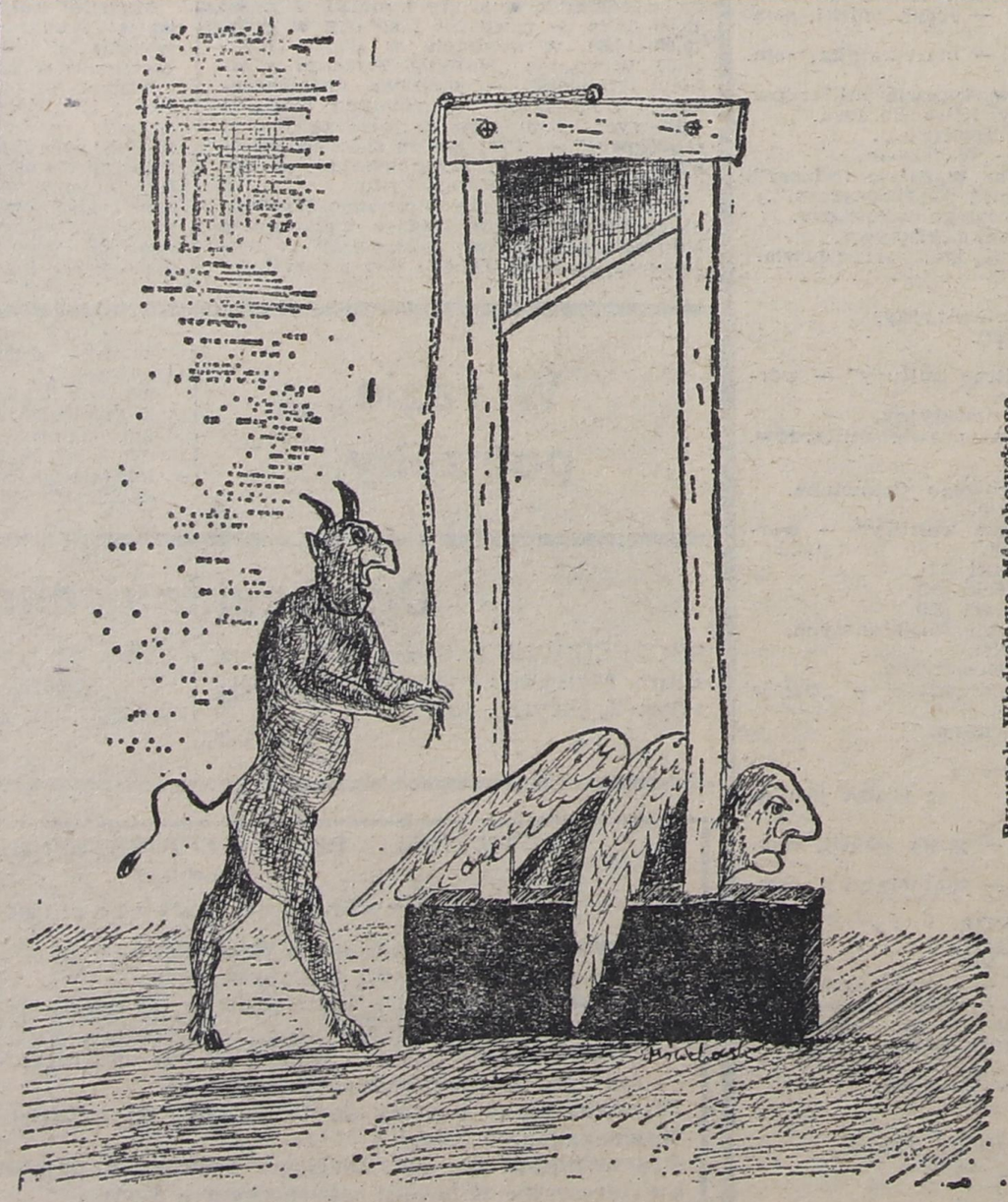

Rysunek Władysława Męchowskiego

PAMIĘTNIK ADAMA

PO PIĘCIU MIESIĄCACH. To nie kangur. Na pewno nie, gdyż utrzymuje się na nogach chwytając Ewę za palec i w ten sposób posuwa się parę kroków na tylnych nogach, a potem upada. Być może jest to pewien gatunek niedźwiedzia, na razie jednak bez ogona i nie pokryty sierścią z wyjątkiem głowy. Wciąż rośnie — co stanowi ciekawostkę, gdyż niedźwiedzie zwykle znacznie wcześniej wyrastają na duże zwierzęta. Niedźwiedzie — od czasu naszej katastrofy — stały się niebezpieczne, wobec tego nie uspokoję się, dopóki on będzie grasować w pobliżu nas bez kagańca. Zaproponowałem, że przyniosę jej kangura, jeśli puści wolno to stworzenie — lecz na nic — sądzę, że jest gotowa narazić nas na wszelkie ryzyko. Nie była taka, póki nie straciła rozumu.

PO DWÓCH TYGODNIACH. Obejrzałem jego jamę ustną. Na razie nie ma niebezpieczeństwa, gdyż posiada tylko jeden ząb. Nie ma też jeszcze ogona. Jest bardziej wrzaskliwy niż dotychczas — i to przeważnie w nocy. Wyprowadziłem się. Wpadam jednak na śniadanie, by zobaczyć, czy nie wyrosło mu więcej zębów. Gdy będzie miało pełne uzębienie, to będzie musiało odejść, niezależnie od tego, czy posiada ogon, czy też nie. Niedźwiedź nie potrzebuje ogona, aby stać się niebezpieczny.

PO CZTERECH MIESIĄCACH. Przez miesiąc polowałem i łowiłem ryby w okolicy, którą nie wiadomo dlaczego ona nazywa Bawołem, bowiem nie ma tam już bawołów. Tymczasem niedźwiedź nauczył się dreptać samodzielnie na tylnych kończynach i mówić „tata" i „mama". Z pewnością jest to nowy gatunek. Podobieństwo do słów może być czystym przypadkiem, oczywiście niezamierzonym, lecz nawet wtedy jest czymś zdumiewającym, gdyż żaden niedźwiedź nie jest do tego zdolny. To naśladownictwo mowy wraz z ogólnym brakiem sierści i kompletnym zanikiem ogona dowodzi, że jest to nowy gatunek niedźwiedzia. Dalsza obserwacja będzie nadzwyczaj interesująca. Tymczasem wyruszę na daleką wyprawę do lasów na Północy, by przeprowadzić dokładne poszukiwania. Z pewnością musi istnieć jakiś drugi okaz, a wtenczas ten pierwszy stanie się mniej niebezpieczny, jeśli będzie mieć towarzystwo osobnika tego samego gatunku. Wyruszę natychmiast, gdy tylko nałożę kaganiec naszemu stworzeniu.

PO TRZECH MIESIĄCACH. Polowanie było męczące, bardzo męczące, nie przyniosło jednak spodziewanego rezultatu. W tym samym czasie Ewa, nie ruszając się z domu, schwytała drugie stworzenie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał takie szczęście! Choćbym sto lat polował w tych lasach, nigdy nie napotkałbym takiego stworzenia. (Cdn.)

MARK TWAIN

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
POKUSY
organ samoistny
POKUSY